ROK WYDAWNICTWA PIĄTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 października 1938

WYDAJEMY WE LWOWIE
54 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

STEFAN FRANK

Z ZAGADNIEŃ REWOLUCJI NIEMIECKIEJ

W obliczu szeregu doniosłych zagadnień staje obecnie niemiecki ruch socjalistyczny zarówno w kraju, jak i na emigracji. Aneksja Austrji i zastąpienie niedołężnego klerofaszyzmu régimem udoskonalonego ucisku, konflikt sudecki i trudności organizacyjne, jakie piętrzą się przed obozem rewolucji antyhitlerowskiej — oto problemy, których rozwiązania domaga się powaga chwili. Szczególnie wielka odpowiedzialność za rozstrzygnięcia ideowe i taktyczne ciąży na emigracji socjalistycznej, gdyż ona właśnie w szczególnych warunkach terroru hitlerowskiego stanowi świadomy swych celów ośrodek walki z brunatną dyktaturą. Kiedy bowiem wzmagająca się fala terroru i doprowadzony przez Gestapo do mistrzowstwa system prowokacyj zmusza rewolucyjne organizacje proletarjatu niemieckiego do jak najdalej idącej ostrożności, emigracja jest na razie tą siłą, która może najlepiej centralizować prace poszczególnych komórek organizacyjnych w kraju, dawać dyrektywy i odbudowywać rozluźnione lub zerwane kontakty. Nie znaczy to oczywiście, że wogóle wszelka inicjatywa ruchu rewolucyjnego znajduje się poza granicami Rzeszy. Wprost przeciwnie: punkt ciężkości pracy — i to jest właśnie pocieszające — leży w Niemczech, stamtąd wychodzą podniety i koncepcje, ale sztab, który je rozpatruje i poddaje skrupulatnej selekcji, znajduje się na emigracji. Trudno przecież wymagać, by tajne organizacje, „obsadzone" niewątpliwie bardzo licznie przez agentów Himmlera, a stanowiące właściwie dość luźne kompleksy poszczególnych komórek lokalnych, mogły spokojnie i objektywnie przeprowadzać analizę wypadków politycznych i wyciągać z niej odpowiednie wnioski praktyczne. Trudno też od nich wymagać, by badały prawdziwość wszystkich otrzymywanych informacyj, dotyczących sytuacji wewnętrznej, a inspirowanych nieraz przez... Gestapo.

Jednak wieloletnie doświadczenie włoskiej emigracji politycznej uczy, że „dyktatura emigrantów", t. j. kierowanie ruchem w kraju z zagranicy w sposób arbitralny, narzucanie gotowych dyrektyw i rezolucyj bez uprzedniego zasięgnięcia opinji tajnych organizacyj, walczących bezpośrednio z faszyzmem, prowadzi do biurokratycznego zwyrodnienia i upadku ruchu rewolucyjnego. W takich wypadkach praca emigracji staje się jałowa, a wodzowie emigracyjni znajdują się w tragikomicznej sytuacji generałów bez żołnierzy. Tak więc właściwie stosunek emigracji do ruchu antyfaszystowskiego w kraju powinien układać się w ten sposób, że emigracja zachowuje tylko najogólniejsze kierownictwo ideowo-polityczne, codzienną zaś pracą agitacyjną w grupach politycznych i na terenie zawodowym kierują komitety wykonawcze w kraju, pozostające w ścisłym kontakcie z emigracją. Szczęśliwe rozwiązanie znalazła austrjacka Partja Rewolucyjnych Socjalistów. W ciągu czterolecia rządów kliki Dollfuss-Schuschnigg, ściślejszy Komitet Centralny Partji miał swą siedzibę w Wiedniu, natomiast w Bernie znajdowało się Biuro Zagraniczne, będące właściwie rozszerzonym Komitetem Centralnym. Po aneksji Austrji Biuro zostało zreorganizowane i przeniesione do Paryża, gdzie spełnia dwojaką funkcję: reprezentuje socjalistów austrjackich na emigracji i stanowi „organ pomocniczy" nielegalnego ruchu w kraju.

Omówione zagadnienie nie wyczerpuje trudności organizacyjnych obozu socjalistycznego. Głównem źródłem tych trudności jest rozbicie socjalizmu niemieckiego na szereg partyj i partyjek, które nie tylko ze sobą nie współpracują, ale nawet nawzajem się zwalczają. Z inicjatywy Rewolucyjnych Socjalistów podjęto ostatnio na nowo rokowania w sprawie koncentracji; poprzedziła je dyskusja, w której starły się ze sobą różne poglądy. Uzgodnienie ich wydaje się rzeczą trudną, ale bynajmniej nie niemożliwą, jakkolwiek nie ulega już wątpliwości, że koncentracja nie zdoła objąć wszystkich grup, powstałych na miejsce dawnej socjaldemokracji niemieckiej. Z wyjątkiem „Sopade" i grupy Sieversa, które z dwóch odmiennych punktów widzenia zapatrują się krytycznie na koncentrację, wszystkie pozostałe grupy socjalistyczne stoją na stanowisku, zbliżonem do tego, jakie reprezentują socjaliści austrjaccy. Ci uznali po aneksji Austrji za jedno z najpilniejszych zadań połączenie organizacyjne z socjalizmem Wielkich Niemiec. Z kim jednak mieli się łączyć, gdy zamiast jednolitej partji aż kilkanaście organizacyj działa w Niemczech i na emigracji pod sztandarem socjalizmu? Mieli do wyboru albo wstąpić do „Sopade", reprezentującej tylko formalnie dawną socjal-demokrację, albo też dążyć do stworzenia nowej, ogólno-niemieckiej partji socjalistycznej, która, unikając błędów przeszłości, umiałaby poprowadzić do zwycięstwa rewolucyjny proletarjat niemiecki. Partja Ottona Bauera wybrała to drugie, wychodząc ze słusznego stanowiska, że dawnej socjal-demokracji nie należy sztucznie podtrzymywać przy życiu i to w chwili, gdy potrzebny jest nie parlamentaryzm Welsów i Stampferów, lecz odnowicielski i rewolucyjny aktywizm. Z uwagi jednak na to, że stworzenie nowej partji nastręcza wiele trudności, tem większych, im głębsze są różnice ideowe i taktyczne między poszczególnemi partjami, Rewolucyjni Socjaliści wysunęli propozycję stworzenia platformy porozumiewawczej w postaci „kartelu", czy federacji, w której skład weszłyby wszystkie organizacje socjalistyczne Niemiec przy zachowaniu dotychczasowej swej samodzielności organizacyjnej. W toku dyskusji, jaka rozwinęła się na ten temat, okazało się, że niektóre grupy pozostaną przynajmniej narazie poza tą pierwszą formą koncentracji, gdyż zajmują tak nieprzejednane stanowisko w stosunku do „Sopade" i jej najbliższego sojusznika, „Krajowego Związku Socjal-demokratów Niemieckich we Francji" (Max Braun), że nie zgodzą się na współpracę z temi dwiema organizacjami. W związku z tem Biuro Zagraniczne socjalistów austrjackich zaproponowało utworzenie kartelu tylko „Sopade", Związkowi Krajowemu Niemieckich Socjal-demokratów we Francji, grupie „Neu-Beginnen" i S. A. P. (Socjalistycznej Partji Robotniczej). Projekt przewiduje, że każda z wymienionych organizacyj deleguje do „Kartelu" dwóch przedstawicieli, uchwały zaś zapadają nie większością głosów, lecz jednogłośnie tak, że żadna organizacja nie może być majoryzowana. Najważniejsze zadania „kartelu" będą następujące: wspólne stanowisko polityczne i jednolita taktyka wobec polityki wojennej hitleryzmu, wobec zasadniczych posunięć régime'u i terroru; techniczne i polityczne poparcie grup socjalistycznych w kraju; współpraca we wszystkich sprawach, dotyczących położenia emigrantów niemieckich; organizacyjna konsolidacja niemieckiej emigracji socjalistycznej przez stworzenie wspólnego przedstawicielstwa zagranicznego; wreszcie — stopniowe scalanie urządzeń organizacyjnych (dzienników, czasopism, ośrodków korespondencji z Rzeszą, komitetów opieki nad emigrantami i t. p.) — (por. „Der Sozialistische Kampf", nr. 7, str. 147, 148). Koncepcja kartelu jako wstępnych ram organizacyjnych przyszłej koncentracji zyskała aprobatę w pierwszym rzędzie ze strony S. A. P., która jednak na dalszą metę dąży do innych celów, niż pozostałe partje socjal-demokratyczne. Dla S. A. P. koncentracja socjalistyczna jest tylko jednym z etapów na drodze do stworzenia jednolitej, wszechniemieckiej partji rewolucyjnej, w której skład miałyby wejść nie tylko organizacje socjalistyczne, lecz również Komunistyczna Partja Niemiec (K. P. D.), a także jej secesje: Komunistyczna Opozycja Leninowska Niemiec (trockiści), grupa Brandlera i grupa hamburska. W przeciwieństwie do innych grup socjalistycznych Niemiec S. A. P. uznaje w zasadzie konieczność stworzenia „Frontu Ludowego", uważa jednak, że w dzisiejszej, kominternowskiej formie „Front Ludowy" w Niemczech jest fikcją. Siłę naprawdę realną reprezentować może „Front Ludowy" tylko wtedy, jeśli jego jądrem organizacyjno-ideowem jest jednolity front proletarjatu w postaci jednej partji socjalistyczno-komunistycznej. Tymczasem „Front Ludowy" w Niemczech, to właściwie sama tylko K. P. D., oraz nieliczne i pozbawione jakichkolwiek wpływów grupki młodzieży katolickiej i młodzieży socjalistycznej. Zdaniem S. A. P. z „kartelu" powinna powstać nowa partja socjalistyczna, która po połączeniu się organizacyjnem z komunistami stworzy mocne i trwałe centrum przyszłego „Frontu Ludowego". Jeśli chodzi o „Sopade", to, jak to już zaznaczyłem w poprzednim artykule, pojmuje ona koncentrację w ten sposób, że wszystkie niemieckie organizacje socjalistyczne dobrowolnie się zlikwidują i wstąpią spowrotem do Socjal-demokratycznej Partji Niemiec. W tym też sensie odpowiedziała „Sopade" na propozycję socjalistów austrjackich w sprawie utworzenia kartelu, oświadczając, że nie może zgodzić się na uznawanie różnych grup socjaldemokracji niemieckiej jako samodzielnych organizacyj i dlatego nie weźmie udziału w pertraktacjach kartelowych. „Sopade" powołuje się przytem na autorytet Drugiej Międzynarodówki, która mimo protest niemieckich grup socjalistycznych, uważa „Sopade" za jedyną przedstawicielkę ruchu socjal-demokratycznego Rzeszy, przyznając Rewolucyjnym Socjalistom równorzędne stanowisko w socjalizmie austrjackim.

Grupa Sieversa odrzuca stanowczo wszelką myśl o koncentracji, do której należałaby „Sopade" i uważa, że prawdziwie trwała koncentracja może powstać nie na emigracji, lecz w Niemczech w ogniu walki z faszyzmem.

*

Przedstawione poprzednio tezy S. A. P. wysuwają zagadnienie koncentracji rozszerzonej, obejmującej socjalistów i K. P. D. Czy koncepcja taka jest realna? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, w każdym jednak razie stwierdzić należy, że możliwość sojuszu z K. P. D. była przed aneksją Austrji większa, niż po niej. Twierdzenie to wydaje się może napozór paradoksalne, zdrowy rozsądek bowiem wskazywałby raczej, że każde nowe zwycięstwo faszyzmu powinno chyba przyspieszyć konsolidację proletarjatu. T. zw. „zdrowy rozsądek" jest jednak najczęściej zawodny. Przyłączenie Austrji do Rzeszy wytworzyło nową sytuację, w której do szeregu dotychczasowych różnic ideowych i taktycznych, jakie są między socjalizmem a komunizmem, przybyła jeszcze jedna, nader ważna: są nią zgruntu odmienne wnioski, wysnute z t. zw. „Anschlussu". Zdaniem naszem ta właśnie różnica przekreśla, przynajmniej na najbliższą przyszłość, możliwość współpracy komunistów i socjalistów. Komunistyczna Partja Austrji i Komunistyczna Partja Niemiec stoją na stanowisku dalszej walki o niepodległość Austrji przez oderwanie zaanektowanego kraju od Rzeszy. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na takie stanowisko wpłynęło to, co możnaby nazwać „fetyszyzmem ludowofrontowym", t. j. przesadna ocena siły, jaką reprezentuje austrjacki katolicyzm polityczny i legitymizm. W rzeczy-

LECH PIWOWAR

NADE WSIĄ

Księżyc niknie, gdy koguty się jeżą.
Oczy, w których gwiazd niema, oczy mają otwarte.
Teraz jasno: noc to stodoła zwierząt
a księżyc jak pastuch przysypia na warcie.

Lecz powrozy, któremi skrzypł słomiane rano?
Dmucha po nich ogień, zajmują się płuca
i w pogodę dymem ostrym w jęczmieniach rozsianą
gruźlicza nawija się nuta.

Śpiew, może otwiera serca kwiatów, jeśli wierzyć pieszczochom.
Którzy tu ludzie językiem obracają młyny na miodach?
Oracz, który lśni pustą szyją jak pęcherzem grochu
wysławia się milczeniem, czarnem milczeniem głodu.

Ptak co usypuje ziaren z błękitu przebitego skrzydłem,
roznieca oczom przestrzeń wolną, nieobsiadłą,
nieokraczoną dworem — rajskie malowidło
w którem tyją owoce jak lipcowe światło.

Pejzaż jest dziełem oczu; także cieniem brzucha.
Wszystkie te barwy głodni rozkradną i zjedzą!
Dla nas nade wsią noc tysiączna już i druga.
A w chatach niema zapałek, tylko oczy świecą.

Kogut jak znachor zna każdy dom i nazwisko,
świtem rozpala osiedla.
Jakby się ptak z człowiekiem pojednał,
nade wsią i nade wszystko.

wistości oba te prądy już nie istnieją: były tak słabe, tak niedołężne i przegniłe, że dały się unicestwić bez żadnej próby oporu. Mimo emfatycznych zapowiedzi Schuschnigga i jego satelitów „Front Ojczyźniany“ skapitulował sromotnie przed konkurencyjnym faszyzmem Hitlera, zaś wódz monarchistów austrjackich, baron Wiesner, który jeszcze na kilka tygodni przed aneksją głosił, że związki legitymistyczne liczą zgórą miljon członków, zrozumiał poniewczasie, jak zawodne są tego rodzaju statystyki. Ale komuniści wierzą nadal w siły zwolenników Schuschnigga i Ottona Habsburga, bo inaczej trudno doprawdy zrozumieć ich taktykę.

Socjalizm austrjacki, a wraz z nim cały bez wyjątku obóz socjalistyczny Niemiec, wychodzi z założenia, że po aneksji kontynuowanie walki w obronie niepodległości Austrji jest szkodliwe i utopijne. Otto Bauer wykazał trafnie w jednym z artykułów, napisanych nakrótko przed śmiercią całkowitą błędność koncepcji komunistycznej. W roku 1918 po traktatach w Wersalu i St. Germain socjal-demokracja austrjacka dążyła do „Anschlussu“ Austrji z Rzeszą, zwracając uwagę zarówno na momenty narodowe, jak i gospodarcze. Te ostatnie stawiały pod znakiem zapytania niepodległość Austrji, kraiku o fatalnej strukturze ekonomicznej, i uzależniały ją najpierw od demokracyj zachodnich, a potem od Włoch faszystowskich, których kolonją była właściwie Austrja od czasów ks. Seipla i Dollfussa. Kiedy w Niemczech doszedł do władzy Hitler, socjaliści austrjaccy, hołdując zwalczanej dawniej przez komunistów taktyce „mniejszego zła“, uznali klerofaszyzm za mniej groźny od dyktatury narodowo-socjalistycznej i podjęli walkę przeciw przyłączeniu Austrji do Trzeciej Rzeszy. Stwierdzali jednak wyraźnie, że nie oznacza to zarzucenia dawnej koncepcji „Anschlussu“, który miał nastąpić w przyszłości po obaleniu Hitlera. Zamiast demokratycznego „Anschlussu“ przyszła brutalna aneksja z tragifarsą plebiscytową. Socjalizm austrjacki nie utożsamia bynajmniej tej aneksji z „Anschlussem“, ale uważa, że dążenie dziś do oderwania Austrji od Rzeszy jest nierealnem wstecznictwem. Przecież cel ten możnaby osiągnąć jedynie po wojnie, w której Niemcy zostałyby pokonane; klęska wojenna Hitlera spowodowałaby niewątpliwie wybuch rewolucji socjalnej w Niemczech. W takim jednak razie w imię czego socjalizm austrjacki miałby odrywać Austrję od socjalistycznych Niemiec? Pozatem w razie zwycięstwa rewolucji proletarjackiej w Niemczech kontrrewolucja poprze niewątpliwie w różnych częściach Rzeszy prądy separatystyczne dla osłabienia zwycięskiego socjalizmu niemieckiego. Separatyzm austrjacki stanąłby więc w obozie reakcji, spełniłby — użyjemy określenia Bauera — rolę „Wandei rewolucji niemieckiej“. Socjalizm austrjacki nie może dziś tej Wandei przygotowywać! Separatyzm znajdzie zresztą protektora nie tylko w rodzimej burżuazji, lecz i w państwach „demokratycznych“, które odniosą w wojnie zwycięstwo nad Niemcami. I tutaj właśnie przemawia przeciw koncepcji komunistów argument patrjotyczno-narodowy. Robotnik niemiecki jest wrogiem hitleryzmu, ale nie jest wrogiem swej ojczyzny! Żywe jest w nim poczucie wspólnoty narodowej z ludem austrjackim, rozumie, że Austrja jest krajem rdzennie niemieckim, toteż dążąc do obalenia hitleryzmu, nie chce wskrzeszania sztucznej odrębności państwowej Austrji, lecz walczy o wielkie, jednolite i niepodzielne Niemcy Socjalistyczne. I nie ulega wątpliwości, że w obronie niepodzielności Niemiec będzie musiał walczyć proletarjat niemiecki przeciw zwycięskim państwom imperjalistycznym, które po pokonaniu Hitlera zechcą rozkawałkować Rzeszę na szereg odrębnych państw lub przemienić ją w luźny związek reakcyjnych monarchij Habsburgów, Wittelsbachów i Hohenzollernów. Jasno i zdecydowanie ujmuje stanowisko socjalizmu niemieckiego następująca enuncjacja grupy Sieversa: „Nadchodząca wojna nie może po klęsce Hitlera doprowadzić do podziału Niemiec! Podobnie też i ponowne wyłączenie Austrji z państwowego związku Rzeszy nie może być obecnie postulatem, zaś jutro zadaniem polityki socjalistycznej!... Podział Niemiec, który po klęsce Trzeciej Rzeszy będzie celem antyniemieckiego szowinizmu, uniemożliwiłby tryumf socjalizmu w Niemczech!“.

Komuniści stworzyli sobie, jeśli chodzi o Austrję, osobliwą koncepcję narodowościową. Oto stwierdzają wbrew rzeczywistości, że istnieje rzekomo jakiś odrębny „naród austrjacki“ i że u robotnika i chłopa austrjackiego występuje bardzo żywa świadomość tej odrębności. Z drugiej zaś strony lekceważą całkowicie patrjotyzm proletarjatu niemieckiego i przechodzą nad nim do porządku dziennego, głosząc niepopularne i antypatrjotyczne hasło oderwania Austrji od Rzeszy, które entuzjazmu w obozie rewolucji niemieckiej napewno nie wywoła.

W swym patrjotyzmie austrjackim komunizm posuwa się do apoteozy „austrjackości“ i „Wiener Gemütlichkeit“, znanej z walców i filmów wiedeńskich, oraz bierze udział w organizowaniu nabożeństw żałobnych za spokój duszy kanclerza Dollfussa. Smutny to doprawdy sojusz partji proletarjackiej z niedobitkami zbankrutowanej kliki klerofaszystowskiej!

Stefan Frank

UPTON SINCLAIR

Jakie zmiany przeżyłem

Upton Sinclair, czołowy pisarz społeczny w Ameryce, najdoskonalszy w literaturze przedstawiciel ideałów sprawiedliwości społecznej i walki amerykańskiego proletarjatu przemysłowego, obchodzi w tym roku podwójny jubileusz: 60-letni dzień urodzin (urodz. 20 września 1878 r.) oraz 40-lecie swej pracy literackiej. Z tej okazji pisma amerykańskie z „Federated Press“ na czele czynią przygotowania do szczegółowych sprawozdań z imponującego dorobku głośnego autora „Grzęzawiska“, „Bostonu“ i tylu innych rewelacyjnych powieści. Bibljografja jego dzieł, tłumaczonych na 47 języków, obejmuje zgórą 760 wydań w 39 krajach, oprócz ojczystego! Nie ulega wątpliwości, że nikt ze współczesnych pisarzy nie osiągnął takiej poczytności.

I u nas, w Polsce, każda nowa książka Sinclaira budzi szczere zainteresowanie, bo jako źródło najwierniejszego odbicia prądów w życiu społecznem Ameryki stanowi fundusz żelazny czytelń publicznych, a szczególniej — robotniczych. Niewątpliwie poniżej zamieszczony artykuł wielkiego społecznika ma wymowę osobistego wzruszenia jubileuszowego, tem niemniej — ciekawie zarysowuje linję dojrzewania młodego społeczeństwa amerykańskiego, pędzącego dotychczas naoślep za blaskiem zdobyczy cywilizacyjnych, nie dostrzegającego groźnych sprzeczności w ustroju klasowym.

W moich latach chłopięcych Ameryka była krajem, w którym głos miały tylko pieniądze. Gdziekolwiek się zwróciłeś, słyszałeś tylko o pieniądzach. Mówiono o nich głośno, głosem ochrypłym, który drażnił mi uszy. Nie dlatego, że sam nie miałem pieniędzy, lecz dlatego, że znałem takich, którzy mieli za dużo. Ci ludzie bowiem nie chcieli wiedzieć o niczem prócz o bogactwie i wydawało mi się, że znieważają wszystko, co dla mnie było piękne i dobre. Pieniądze drwiły, pieniądze decydowały o wszystkiem; pieniądze orzekły, że jestem niczem i że wszystko, co robię lub mówię nie ma znaczenia, ponieważ nie umiem robić majątku i jestem takim głupcem, który nie wierzy, że pieniądze są jedynym celem rozumu, postępu i całej cywilizacji.

Urodziłem się w Baltimore, ogromnym porcie, który zbogacił się po wojnie domowej. Miał swoich magnatów i królów finansowych, a ja żyłem w takiem środowisku, że musiałem o nich słyszeć, a nawet spotykać się z nimi w towarzystwie, pomimo że ani ja ani moi rodzice nie mieliśmy pieniędzy. Przysłuchiwałem się rozmowom bogaczy i zrozumiałem, że wszystko jest związane z pieniądzmi, nawet dziedziczna władza i znaczenie, którym bogacze udzielają swych względów i uznania. Miałem okazję wznieść się do panującego świata, lecz dobrowolnie wyrzekłem się tego przywileju, bo w dzieciństwie już byłem gorliwym czytelnikiem książek i z nich poznałem inny świat — ideałów, dążeń i heroizmu!

Potem wywieziono mnie do New Yorku, w którym władzę sprawował Tammany Hall (Ratusz) czyli **przekupstwo**, chociaż to określenie jeszcze nie było znane. Miałem sposobność poznać korupcję od wewnątrz i przekonałem się, że wszystko zależało od pieniędzy, a więc: prześladowano dla pieniędzy, forytowano dla pieniędzy, poświęcano wszystko co najcenniejsze w życiu człowieka — dla gotówki!

Spoczątku piętnowałem bandę, zasiadającą w ratuszu t. j. administrację, lecz stopniowo doszedłem do przeświadczenia, że wielcy finansiści przekupywali urzędników i ciągnęli z tego dziesięć razy większe zyski, niż przekupieni. Właśnie bankierzy, wielcy potentaci z Wall Street, wykupili dla siebie Amerykę od ludu i z demokracji uczynili pośmiewisko i hańbę!...

To też przez wiele lat nienawidziłem korupcjonistów z Wall Street, a kiedy zetknąłem się z nimi i przysłuchiwałem się ich rozmowom, płonąłem chęcią opisania ich afer w książkach, aby ich napiętnować wobec świata. Dopiero później, gdy dojrzałem i stałem się rozumniejszy, zrozumiałem, że ludzie są tacy, jakimi czyni ich panujący system, że to nie wina poszczególnych bankierów, ani magnatów kolejowych, lecz systemu produkcji dla zysku, który zniszczył ideał Ameryki: rządzenia przez lud i dla ludu.

Miałem osiemnaście lat, gdy wybrano mnie kontrolerem w komisji wyborczej przy wyborach dla przeprowadzenia reformy w New Yorku, i o mało nie rozbito mi głowy, usiłując ukraść ogromną ilość głosów przed obliczeniem.

A więc widzicie: już czterdzieści dwa lata temu byłem uczestnikiem walki politycznej. A od tego czasu głowa moja była narażona dniem i nocą na rozbicie — a takich, jak ja było bardzo wielu.

A przecież — mimo wszystko — Ameryka się zmieniła i gdy myślą wzniosę się wzwyż, ponad tę przestrzeń czasu, i obserwuję proces społeczny, widzę, że, chociaż powoli, zrobiliśmy jednak olbrzymi krok naprzód ku uzdrowieniu.

Przypisuję tę zmianę uczciwej grupie kobiet i mężczyzn piszących, którzy w tym okresie zjawili się na arenie życia społecznego. Wielu z nich nie miało nawet wyobrażenia o własnej sile i znaczeniu swej pracy dla budownictwa lepszej przyszłości. Mark Twain, naprzykład, nie sądzę, aby zamierzał kiedykolwiek być reformatorem, a kiedy go poznałem, był zrozpaczony i rozgoryczony spowodu panującego zła w naszej ojczyźnie. Lecz kochał bardzo sprawiedliwość, nienawidził obłudę i łotrostwa systemu wyzysku tak niewolniczego, jak i najemnego, a w powieściach „Książę i żebrak“, jak i „Yankes z Connecticut“, poruszył umysły miljonów (a przecież umysł ludzki wkońcu zwycięży!). Podobnie William Howells; gdy go poznałem, był również zmęczony i przybity, lecz jego książka dotychczas pobudza do miłości braterskiej i uczciwego współżycia ludzi. Oto dlaczego dobre książki mają tak wielkie znaczenie! One się nie męczą, nie zmieniają i nie dadzą się przekupić!

Później zjawili się młodsi pisarze, jeszcze niezmęczeni życiem, ani nie upadli na duchu. Przeczytałem Franka Norrisa „The Octopus“ i doznałem potężnego wrażenia; nie wiedziałem, co o tem myśleć, bo trudno mi było uwierzyć, że takie rzeczy mogły mieć miejsce w Ameryce, i stanąłem wobec problematu, w jaki sposób mogę się przekonać o prawdzie tej książki. Recenzenci również nie wiedzieli albo też nie umieli tego wyjaśnić. Aż wreszcie zjawił się David Graham Phillips, nieugięty szermierz sprawiedliwości, który znienawidził kult pieniądza tak samo jak ja, i napisał bojową książkę pod tytułem „Wiek blichtru“. Phillips był o tyle szczęśliwszy ode mnie, że jego powieści dotarły do czasopism; zdołał swe potępienia korupcji politycznej i gospodarczej zamieszczać nawet na łamach „Saturday Evening Post“, które dla mnie pozostały niedoścignione przez wszystkie te lata.

Jack London zjawił się o trzy czy cztery lata przede mną i zasypał świat potokiem wspaniałych utworów, przeważnie przepojonych buntem przeciw panującemu ustrojowi społecznemu, a niektóre z jego nowel można zaliczyć do najbardziej bojowych, jakie posiada literatura socjalistyczna. Jack pomógł mi do spopularyzowania „Grzęzawiska“, a w 10 lat później, już przed śmiercią, napisał najpiękniejszą w prozie amerykańskiej przedmowę do mojej antologji utworów rewolucyjnych, p. t. „Krzyk o sprawiedliwość!“.

Byli jeszcze inni pisarze w tym rodzaju. Musiałbym napisać całe studjum literackie, aby wyliczyć ich wszystkich. Nie było ich zresztą tak wielu, jakbym pragnął, gdy rozpoczęła się wojna światowa i okazało się, że wielka wojna zawsze sprowadza za sobą okres rozprzężenia i cynizmu. Mieliśmy z dziesiątek pisarzy, którzy swój protest przeciw szalejącemu złu wyrazili w pijaństwie z rozpaczy lub w innej perwersji seksualnej. Nie chcę wymieniać ich nazwisk, bo sami padli ofiarą swych nałogów — a pozostali, jeszcze piszący, znani są obecnie jako zdecydowani reakcjoniści, gdyż zawsze zresztą należeli do starego świata.

A jednak Ameryka ocknęła się i dąży do stworzenia lepszej społeczności, która chce zapewnić bezpieczeństwo i wolność dla wszystkich, czego obecnie nawet bogacze nie posiadają. Teraz znajdziemy już miljony takich, którzy przestali wierzyć, jakoby gromadzenie pieniędzy było ostatecznym celem życia! Może powiecie: zmądrzeli, bo nie mają już możności zbijania pieniędzy! Lecz rozgoryczenie spowodu własnego niepowodzenia jest już pierwszym krokiem do myślenia, do zrozumienia podstaw ustroju społecznego, w którym trzecia część ludności skazana jest na nędzę, choćby harowała, borykała się i walczyła o byt.

Krótko mówiąc, ludność Ameryki teraz czyta, myśli i mówi o nowym ustroju społecznym, który należy wywalczyć. Młodzi pisarze domagają się prawa do niezależności; wypowiadają się przeciw systemowi gospodarczemu, opartemu na wyzysku pracy, który wyrzuca dziesięć, dwanaście miljonów ludzi na bruk, a innych zmusza do pokrywania deficytu czterech miljardów dolarów, co ma jakoby przeszkodzić podwojeniu liczby bezrobotnych.

W Ameryce, Anglji i we wszystkich krajach, gdzie utrzymała się wolność słowa i druku, spod prasy sypią się książki mądre, uczciwe, bojowe, domagające się sprawiedliwszego ustroju społecznego!

Wierzę, że Ameryka i wszystkie kraje demokratyczne doczekają się wkrótce narodzin wolności i wierzę, że krytycy literaccy tę szczęśliwą przyszłość zaliczą do złotego wieku w historji literatury wszechświatowej!

Wśród tych, którzy będą czytali moje słowa, są młodzi pisarze, żyjący nadzieją, że ich książki będą uznane wówczas, a ich nazwiska zostaną wyryte złotemi zgłoskami. Głoście więc waszą wiarę w braterstwo ludów i uczcie się wypowiadać ją z siłą, jak wezwanie, a przyczynicie się niezawodnie do szczęśliwej i szlachetnej przyszłości rodu ludzkiego!

Upton Sinclair,
przełożyła **A. S. M.**

JUBILEUSZ „SYGNAŁÓW“

W „Dzienniku Ludowym“ z dnia 3 września ukazał się artykuł, p. t. „Jubileusz „Sygnałów“, omawiający dorobek naszego pisma. Warto nadmienić, że ten artykuł był drukowany w świetnie redagowanej rubryce „Proszę pozwolić“.

W języku biurokratycznym nazywało się to „odrabianiem zalegości“. Zaległości w tym wypadku powstały spowodu wakacyjnego wyjazdu, a jedną z milszych i pilniejszych jest przypomnienie jubileuszu lwowskiego dwutygodnika „Sygnały“, z racji 50-ciu wydanych numerów pisma, do których w czasie usprawiedliwionego opóźnienia dołączył się numer 51.

Ocenienie zasługi wydawniczo-prasowej i redakcyjnej uwzględnić musi nie tylko treść pisma, ale i rozmiary i ilość pokonywanych trudności. O ile o „Sygnały“ idzie, to było ich bardzo wiele, a niektóre z nich boleśnie dały się odczuć. Można stwierdzić zgóry, że konsekwencja ideowa i organizacyjna, którą „Sygnały“ włożyły w pokonywanie tych trudności, należy od objawów niezbyt częstych w naszem życiu prasowem i wydawniczem. Wytrwać, nie zniechęcając się, a przedewszystkiem nie zmieniając linji — już to samo daje tytuł do zasługi.

„Sygnały“, jak wiadomo w całej Polsce rzeszom inteligentnych czytelników, które się do nich przywiązały, są pismem literacko - społecznem, demokratycznem, postępowem, duchowo wolnem i redagowanem na wysokim poziomie. Niezależność duchowa i służenie temu, co się uważa za prawdę, nie należą w obecnej chwili do rzeczy popłatnych. Podwyższanie poziomu w okresie obniżania go przez najrozmaitsze brukowce, stanowi również poważne ryzyko. Skupienie grona poważnych, znanych i utalentowanych współpracowników wokoło wolnej, ideowej trybuny nie dysponującej większemi środkami, jest również wielkim sukcesem, świadczącym o żywotności i powodzeniu wydawnictwa.

Dodajmy do tego wszystkiego, że dawny miesięcznik, a obecny dwutygodnik wychodzi nie w Warszawie, ale we Lwowie, a więc w mieście, które na równi z innemi ośrodkami przywykło się nazywać „prowincją“. Droga duchowa, wiodąca z „prowincji“ do stolicy jest wbrew zasadom geometrycznym znacznie dłuższa i trudniejsza od tej, która ze stolicy prowadzi na „prowincję“. Objaw ten staje się bardziej jaskrawy w okresach umniejszania i ograniczania wolności duchowej, co nie pozwala myśli krążyć swobodnie i dotkliwiej daje się we znaki prowincji, w której władze są bardziej czujne i mniej samodzielne.

Dodajmy do tego, że Lwów nawet w okresie przedwojennym nie miał szczęścia do pism perjodycznych, literackich i społecznych, które nie trwały tam nigdy długo w przeciwieństwie do żywej wtedy i wysoko stojącej prasy codziennej.

Promieniowanie warsztatu lwowskiego na całą Polskę jest również zasługą „Sygnałów“, przezwyciężających narzucony wielkiemu i żywotnemu środowisku prowincjonalizm, i stanowi dalszą pozycję dodatniego bilansu, którego należy „Sygnałom“ serdecznie powinszować, życząc im dalszych sukcesów i rozwoju na dotychczasowej drodze. (ł.)

* * *

W poprzednim (53) numerze „Sygnałów“ z dnia 15 września: **Stefan Wodwicz:** Patologja faszyzmu. — **Józef Lubojański:** Dwa katolicyzmy. — **J. N. Miller:** Jubileusz „Sygnałów“ — **Ignacy Fik:** Estetyka Maritaina. — **Henryk Kora:** Kryzys szkoły burżuazyjnej. — **Zygmunt Jarosz:** Sprawy społeczne. — **Jan Koprowski:** Noc. — **Jerzy Kamil Weintraub:** Nowości poetyckie. — **Zygmunt Jarosz:** Śląsk, Czechosłowacja, Żydzi i demokracja. — **Emil Zegadłowicz:** „Nad Wisłą grają traktory“. — **Jan Krzesławski:** Szlachetna działaczka. — **Władysław Szlengel:** Opowieść o muzykalnym generale. — Oblicze dnia. — **Leonid Fokszański:** Krzyk w nocy. — **Stanisław Jerzy Lec:** Do Apollina. — Korespondencja (J. K. Weintraub). — **K. Baraniecki:** Noc (rys.). — 8 stron. — 5 ilustracyj.

STEFANJA RAJFÓWNA

I zaśpiewał pieśń wolności *)

Janka siedzi oparta o poręcz drewnianą; ławka jest zimna, zimno i obco dokoła, a jakiś nieznany pan, jakiś student w wytartym palcie obok niej czyta:

„Madryt posiada wiele dzielnic, każda jest jakby oddzielnem książstewkiem. Posiada swą własną legendę. W dzielnicy, o której piszę, ludzie zapomnieli, że można żyć inaczej, spokojnie, że można spać bez przerwy noc całą i najeść się do syta.

Przygnębienie opanowało wszystkich. Co godzinę ktoś ubywał, co chwilę każdy narażony był na śmierć. A jednak znikło zdenerwowanie dni pierwszych — nastąpiła złowroga obojętność. Tak mijały dni, tak upływały miesiące, tylko chwilami budził się bunt, rodzący sprzeciw silniejszy i wiarę, że może da się odmienić, że trzeba koniecznie zdobyć się raz jeszcze na wysiłek, raz jeszcze...

A wtedy ożył entuzjazm. Walczono, czem kto mógł i jak kto mógł. Miasto wolało zginąć, niż się poddać".

— Czy słuchasz, Janko? — przerwał Andrzej; odpowiedziało mu stłumione mruknięcie.

„Joanita z troską spojrzała na swą małą Carmen, ostrożnie podeszła do drzwi i zamknęła je mocno na rygiel.

Była niespokojna, unosiło ją z jednego miejsca na drugie, pchało ją wciąż od drzwi do okna, od okna do ściany, wewnętrzny niepokój, bolesne oczekiwanie, cicha niepewność.

Twarz jej zupełnie zmatowiała, oczy stały się bezbarwne, przesłonięte mgłą. Dopiero ubiegłej nocy jej chłopak, 14-letni Alcala, uciekł na front. Oddawna nosił się z tym zamiarem, przekonywał, że wiek tu nic nie znaczy, tylko umiejętności. Alcala umiał strzelać, dawniej celował do mew białych, dziś do ludzi.

W zeszłym miesiącu mąż, dziś syn, jutro ona lub córka. I tu znów nastąpiło rozbicie duchowe: głuchy żal i duma, że jej chłopak, jej Alcala poszedł, cierpienie i miłość własna.

Wiedziała, że i miasto nie jest bezpieczne, wiedziała, że śmierć jednego małego chłopca, to nic prawie, ale śmierć jej chłopca...

— Żebym go chociaż miała przy sobie — myślała. — Sąsiad, osiemdziesięcioletni staruszek o twarzy tak bardzo, tak nieprzyjemnie pomarszczonej, o dziąsłach bezkrwistych, opowiadał Joanicie, że odsyłają dzieci spowrotem z frontu.

— A może — zabłysła nadzieja — może jednak.

Zbliżyła się do okna.

Granatowe niebo opadało coraz niżej, bliżej do ziemi, a wraz z niem opuszczał się las srebrnych błyszczących gwiazd.

Z ulicy dochodził przytłumiony szept rozmów.

— Mamo, zejdźmy nadół — prosiła dziewczynka Joanitę — porozmawiamy, może ktoś przyszedł stamtąd, może coś wiedzą ...o Alcali.

Joanita skinęła milcząco głową, ujęła małą za rękę i obie zeszły.

W bramie stała nieliczna gromadka ludzi. Szedł od nich strach, wyczekiwanie.

Białe światło latarń obsuwało się wolno z postaci, przytulonych do brudnych murów, z twarzy przelękłych, przyczajonych, przez chwil parę żółta smuga zawisła na bladych wargach, przesunęła się z okryć zniszczonych, narzuconych niedbale w pośpiechu, spełzła i znikła w ciemnej głębi splamionych kałuż. Cienie szły zewsząd.

Z odrapanych murów, oberwanych gzymsów, z przekrzywionych latarń, zgóry, zdołu, z boków nachodziły cienie złe i kładły się wokoło.

Młoda kobieta z paromiesięcznem dzieckiem na ręku stała oparta o niegrubą barjerkę.

Małe na czole miało brzydką, brudną ranę. To od odłamka granatu, gdy biegła kupić nieco kaszy.

— Nie patrzcie tak w ten otwór, bo jej mózg przewiercicie! — próbował zażartować niewielki człowieczek, którego zupełnie niedawno jeszcze przywieźli; oberwało mu nogę i rękę".

Andrzej odetchnął głęboko i ciągnął nieprzerwanie:

„Towarzystwo usiłowało podrwić ze swego tragizmu, przez chwil kilka zapomnieć o tym innym, najważniejszym, odpychało się swe troski, rany świeże, niezagojone i szarpiące, byle zapomnieć — choćby na moment krótki.

Nie patrzano w dal, by nie ujrzeć, nie nasłuchiwano, by nie słyszeć, a jednak, o czem nie zaczynałoby się rozmowy, złe wychodziło.

Stara Claudia chciała opowiedzieć anegdotkę. Zaczęła o hitlerowcach, przypomniały się ich „Junkersy" i Franco. Przypomnieli się bliscy straceni. I tak otwierały się wciąż rany.

W atmosferę ciszy wdarły się złowrogie szumy. Jedni zaczęli panicznie uciekać, inni obojętnie machnąwszy ręką: — jedno licho! — skryli się wolno pod dachami.

— Mamo, znowuż oni!

— Carmen, daj mi rękę, nie bój się.

Ze strony północno-zachodniej ludzie nadbiegali gromadnie w bezładzie, przerażeni. Nikt nie wiedział, gdzie się skryć.

— Hej, co się stało, czy to Franco dostaje w d..ę? — krzyczał robotnik bez nóg.

Odpowiedź zmieszała się z warkotem motorów, utonęła w hałasie.

Posypał się grad kul, pięciopiętrowa kamienica ryknęła groźnie, ale nie ustąpiła.

Ktoś przeleciał środkiem jezdni, ktoś przeżegnał się, ktoś znów zaklął.

Nowa salwa armatnia.

Dom począł walić się: szyby, okna, mury, wszystko zapadło się w ziemię.

Ludzie stali nieporuszenie.

Potem wszystko trochę się uspokoiło. Bezsilna złość wyciskała łzy z oczu.

Niebo było jeszcze bardziej podobne do dojrzałej, fioletowej śliwy.

Księżyc już dawno znikł przysłoniony ciężkim dymem. Jęki wydostawały się spod gruzów. Niektóre z kobiet histerycznie płakały.

— Uciekać, uciekać daleko stąd — dokąd?

Rozpoczęła się akcja ratunkowa.

Ukazywały się nowe trupy kobiet, starców i dzieci, ciała poszarpane, ręce, nogi odrzucone, oderwane od ciał.

Ludzie! Ratujcie! LU———DZIE——

Przechodzono przez trupy, deptano je, każdy zajęty był odszukiwaniem swoich.

Mała Carmen wciąż czegoś szukała, napróżno Joanita starała się ją unieść.

— Mamo, jeszcze chwilę, pozwól — prosiła — jeszcze.

Wreszcie... znalazła. Blada, wyczerpana stała z wysoko podniesioną ręką, w dłoni trzymała klatkę z kanarkiem.

Ptak począł rzewnie przeciągać swe trele. Ludzie stali osłupiali.

Odtyłu cicho zbliżył się 9-letni Jose Maria.

— Carmen, puść go!

Dziewczynka zawahała się.

— Carmen, puść na wolność!

Złote pręciki klatki zadrgały, maleńkie drzwiczki lekko zaskrzypnęły — ptak spojrzał nieufnie, po chwili wyfrunął, jedwabiste skrzydła pracowały coraz silniej, szybciej, ptak nieprzywykły przystanął na szczycie dachu — zaśpiewał. Spoczątku cicho, później głośniej, melodyjniej śpiewał swą pieśń jedyną, wytęsknioną przez dni tyle za pozłacanemi kratami więzienia.

...I tak w jęki rannych, w ból i przekleństwa wdarła się nowa nuta. Wiara — pieśń wyzwolonego ptaka".

— A więc bajka skończona — powiedział Andrzej głosem czystym.

—Jak ci się, Janko, podoba to opowiadanie dni naszych?

Nie odpowiadała wzruszona, zamyśliła się i tak pozostała przez chwil parę w skupieniu.

*) Fragment powieści z życia studentów, p. t. „Z lewej strony".

POWIEŚĆ SPOŁECZNA

Stanisław Krzyżewski. Bronka. Z przedmową **J. Iwaszkiewicza.** Warszawa, J. Przeworski, 1938; str. 296.

Historja Bronki Toporskiej jest przejmującą opowieścią, w której nieśmiały dydaktyzm autora, łączący się z silnie rozwiniętym zmysłem realisty, z surowym materjałem kompozycyjnym i chropawym miejscami stylem — daje w rezultacie mocną, rasową książkę, głęboko wzruszającą, konsekwentną i ścisłą w rachunku prawdopodobieństwa — jak samo życie.

Bronka jest dzieckiem byłej szmuglerki i wyrobnika, pochodzi z rodziny napiętnowanej złą sławą lekkomyślnego prowadzenia się, jej matka ratowała nieraz powodzenie rodziny własnem ciałem, mocno wyuzdanem, starsza siostra jest ulicznicą. Bronka uczy się życia na podwórkach proletarjackich rodzin bez przydziału; całą sztuką tego środowiska jest trzymać się jakiejś egzystencji naprzekór wszelkiemu prawdopodobieństwu istnienia, na wyścig z czasem, byle przebyć, jakby w wiecznej wojnie i oblężeniu. Dobre skłonności, odziedziczone po ojcu, walczą w zahukanej dziewczynce z ohydnem dziedzictwem matki, z jej otwartą drapieżnością, przygotowującą sobie w młodszej córce następczynię starszej, dla czerpania zysków. Może wbrew oczekiwaniu Bronka wyrasta niezepsuta, uczuciowa, kochająca dzieci, gospodarna, a więc z wszystkiemi zadatkami na dobrą żonę i matkę. Ale takie właśnie nie mogą dobrze skończyć w tem środowisku. Pierwsze uderzenie losu, to uwodziciel, Wacek, jakiś łapserdak, malarczyk, materjał na sutenera, któremu oddała się z miłości, cała w oczekiwaniu szczęścia w małżeństwie. Jednak chłopcu ani się nie śni. Trzeba spędzić płód. Ciężka choroba, w rezultacie bezpłodność. Życie zaczyna odbierać dziewczynie szansę po szansie w czerpaniu jakiegokolwiek zadowolenia z marnej egzystencji. Czuje się napiętnowana, najpierw ową złą sławą rodzinną, potem czuje własny już chwiejny krok; łudzi się jednak, że Wacek się z nią ożeni, bo któżby inny to zrobił, jeśli on nie zechce. Kochanek zwodzi, narazie daje się utrzymywać. Bronka robi wszystko, żeby się utrzymać na powierzchni uczciwej miłości i wiary, ale to się nie da. Przychodzi nędza, matka wypycha na ulicę. A trzeba o tem pamiętać, że dramat rozgrywa się wśród ludzi, u których odważenie się na taki krok niewiele przekracza niesmak przy praniu cudzej bielizny. Bronka rozpacza jednak strasznie i spowodu swego upadku i podłości Wacka, który wydaje się wcale nie brzydzić procederem dziewczyny. Następuje czas udręki, Wacek się oddala, zrywa z nią, kiedy korzystanie z opieki rodzinnej Toporskich wydaje mu się już nie dość intratne. Bronka pod wpływem namowy matki odważa się na połowiczny zamach na życie i zdrowie kochanka przy pomocy sakramentalnego kwasu solnego, nie wyrządza mu przecież żadnej krzywdy, nie potrafiłaby tego, chciała go tylko przestrzec. Wyrok sądowy potępia ją, chociaż uwalnia od cierpienia kary.

Z tych dołów upadku podnosi nagle Bronkę nowa miłość. Zakochała się w inteligentnym, subtelnym chłopcu, który wnosi w brutalny świat jej doświadczeń dotąd przeczuwane tylko wzruszenia. Bronka wyrywa się do tego świata, ale i tam nie zostaje przyjęta. Karol lubi Bronkę, ale nie kocha jej fizycznie. Jest to najżałośniejsza ironja sytuacji, ta, która we wszystkich niekochanych mężczyznach budziła mętne niepokoje, nie potrafi poruszyć najdroższego. Księżycowy kochanek okazuje się równie bezwzględny jak inni, ucieka jej, nie chce dać nic z siebie. Bronka daje się znowu wziąć Wackowi, ogłuszona, zobojętniała na wszystko, daje się maltretować, sprzedawać, porzucić. Oszpecona i postarzała przedwcześnie, przechodzi już zdecydowanie na gorszą połowę życia, zaczyna być już śmieszna, poddaje się wegetacji upośledzonego zwierzęcia, ulicznicy, która musi się napraszać — ta najlepsza i najnieszczęśliwsza z nieszczęśliwych.

Los Bronki jest zamknięty jak koło, nie możemy w nim oczekiwać żadnego wyłomu. Siła nieodpartego wynikania, osiągnięta przy pomocy prostych środków artystycznych, przywodzi na myśl gorączkową spowiedź, w której wszystko się zgadza. Autor nie posługuje się daleko powiązanemi nićmi kompozycji, ale każdy epizod rozwiązuje odrazu w formie nowelistycznej pointe'y, tak, jakby nie potrzebował mocniejszych akcentów w rozplanowaniu akcji, pisze mu się samo, z debjutancką rozrzutnością treści. Tego rodzaju powieści, sprowokowane przez bogactwo materjału, wychodzą zazwyczaj spod pióra bezimiennych obserwatorów na egzotycznym odcinku życia, jakeśmy to już mogli zauważyć na przykładach Worcella, Piaseckiego, Ukniewskiej; nistądnizowąd mieszkaniec jakiejś zapadłej Małkini w surowych słowach przypomni, jak mocno i niecierpliwie potrafi pulsować uczucie i tęsknota za szczęściem w ludziach, których istnienia nie przeczuwaliśmy wcale.

Konkretny przypadek książki Krzyżewskiego nasuwa jeszcze takie uwagi: wyczerpujące znawstwo psychiki kobiecej, traktowanej w każdem miejscu powieści „od wewnątrz", oraz sylwetkowe rysowanie postaci męskich — nasuwa myśl, że „Bronkę" napisała kobieta. Owo przypuszczenie może się naturalnie okazać niesłuszne. Nieznacznym błędem autora jest używanie w niektórych miejscach określeń, które niepotrzebnie starają się ująć pozycję postaci z pewnego dystansu; słowa te mogą uchodzić za pretensjonalne w stosunku do środowiska opowieści, a są niedość wytrawne, ażeby oddawały namysł pisarski. Ów stan wynika prawdopodobnie z podświadomego dydaktyzmu autora, który chce czytelnika orjentować w sytuacji, aż nadto wymownej. Poza temi momentami książka odznacza się dużym objektywizmem, i wystarczy poddać filologicznej analizie niektóre z soczystych powiedzeń, włożonych w usta postaci działających, żeby się przekonać, jak mocno jest „Bronka" osadzona w rzeczywistości. Subtelne wyzyskanie sytuacji, „podprowadzonej" lirycznie, jak n. p. scena końcowa, w której Bronka bada swój próchniejący ząb przed wyjściem na ulicę, wskazuje na opanowanie „faktury wzruszeń", i znamionuje szczery talent.

Marjan Promiński

OŚ MADRYT—HANKOU

„Morir en pie antes que vivir de rodillas“ — „Raczej umrzeć stojąc, niż żyć na kolanach“ (Pasionaria).

„La resistencia es el arma de nuestro triunfo“ — „Opór jest orężem naszego zwycięstwa“ (Gen. Miaja).

„Ganar el tiempo“ — „Wygrać czas“ (Hasło republikanów).

Na dwóch krańcach eurazjatyckiego kontynentu, zamieszkałego przez 4/5 ludzkości — dwie wojny. Dwie wojny imperjalistyczne, najezdnicze, oficjalnie niewypowiedziane. Bronią się: Hiszpanja i Chiny. Atakują: Włochy i Japonja.

Pozostały partner „trójkąta“, Niemcy, zajęte są Czechosłowacją. Tak dalece zajęte tą drugą, po „Anschlussie“, fazą realizacyjną Mitteleuropy, że nawet na „doświadczalnym“ terenie Hiszpanji osłabiły ostatnio swą aktywność. W Chinach zaś istnieje dość poważna rozbieżność interesów Niemiec i Japonji. Nie znaczy to, aby Trzecia Rzesza zrezygnowała n. p. z asturyjskiej rudy żelaznej, albo w ewentualnym zatargu francusko-japońskim o wyspy Paracel nie stanęła zdecydowanie po stronie Japonji. Wszakże prasa hitlerowska pisała z okazji obsadzenia przez oddział francuski tych wysp o „francuskim zamachu zbrojnym“!

Na osi Rzym—Tokjo zdaje się być mniej utajonych zgrzytów, niż na osi Rzym—Berlin. Japonja i Włochy nie mają nigdzie interesów sprzecznych: stare rozbieżności spowodu Abisynji poszły w niepamięć. Pomyślnie rozwija się współpraca, zwłaszcza „ideologiczna“. Hr. Ciano, dekorowany niedawno wysokiemi odznaczeniami „junty“ w Burgos, w jednej ze swych mów oświadczył przecież, że podejrzewa Chiny o „uleganie wpływom bolszewickim“. Każdy antyimperjalista jest dla niego bolszewikiem. Tak chwalcy nacjonalizmu traktują zawsze cudzą niepodległość narodową.

Opowiadano mi o charakterystycznej scence, jaka zdarzyła się przed niewielu miesiącami w jednym z warszawskich szpitali. Szpital ów przygarnął na czas jakiś prosto z ulicy bezdomnego Chińczyka, który zemdlał gdzieś pod ścianą z głodu. Pędzony przed siebie „dokąd oczy poniosą“ niekłamanym tragizmem dziejów swej ojczyzny, spędził czas pewien w Warszawie. Nauczył się kilku polskich słów, pozatem radził sobie gestykulacją. Któregoś dnia usiłował wyłuszczyć towarzyszom niedoli szpitalnej swoje poglądy polityczne. „Polacy są dobrzy — tłumaczył — Rosjanie dobrzy, Amerykanie dobrzy. Ale Japończycy“ — tu wykonał szybki i dosadny, a nic dobrego Japończykom niewróżący gest ręką po szyi. Synowie Kraju Wschodzącego Słońca stali się dlań widocznie synonimem największego zła. Bezpardonowym tragikomicznym gestem wyraził swą nieskończoną nienawiść do japońskiego imperjalizmu.

...Prasa przynosi wciąż nowe szczegóły o rosnącym wśród zastępów generała Franco niezadowoleniu. Niezadowoleniu, które swe źródło ma głównie w coraz widoczniejszej nawet dla hiszpańskich faszystów supremacji obcego imperjalizmu na zajętych przez rebelję terenach. Niedarmo żołnierze hiszpańskiej armji rządowej śpiewają jurne i dumne piosenki, jak ta oto:

„En los frentes de la Alcarria,
Huyeron los italianos,
Huyeron como conejos,
Con el culo a dos manos!...“

Co po polsku brzmi:

„A na Alkaryjskim froncie,
Gdy przeszliśmy do natarcia,
Wieli Włosi, jak zające,
Dzierżąc t....ki w obu garściach!...“

W rubasznej niefrasobliwości tej piosenki można dostrzec coś więcej, niż zwykły przejaw żołnierskiego humoru. Można dostrzec oddech spokojnej ufności, męskiego przekonania o własnej sile, o dalekiem może, ale nieuniknionem zwycięstwie.

Chiny — „mają czas“. Spieszy się zato japońskim najeźdźcom. Różne koleje przechodzić jeszcze może wojna na rozległych terytorjach Państwa Smoka. Ale jakiekolwiek będą możliwości i sukcesy strategiczno-manewrowe obu stron, zadecyduje zdolność przetrwania. A ta zdolność wydaje się być większa u pięciusetmilionowego narodu kulisów. Ze względu na jego niewyczerpany praktycznie rezerwuar ludzki, ze względu na rosnące społeczne i finansowe trudności Japonji, ze względu na cały szereg stosunkowo mniej doniosłych okoliczności.

Ostrożnie trzeba operować analogjami. Ale wydaje się, że republika hiszpańska ma również więcej czasu od swych przeciwników. Ma czas na wiele różnych rzeczy. I na organizowanie w pierwszej linji ognia kursów dla żołnierzy — analfabetów. I na „obronę prawa dzieci do radości“.[1]) I na ogłaszanie publikacyj szóstego międzynarodowego kongresu entomologicznego w Madrycie. I na organizację racjonalnej ochrony skarbów sztuki.[2]) I na systematyczną rozbudowę sieci szkolnej. I na dziesiątki innych prac, które, zdawałoby się, powinny ulec zawieszeniu „inter arma“.

Walczą Chiny. Walczy Hiszpanja. W gruncie rzeczy bronią tej samej sprawy: swej niepodległości narodowej, prawa do rzetelnego samostanowienia. I dlatego nikt poważny nie może się zdziwić, że naprzykład jedyny chiński dziennik w Europie, organ kolonji chińskiej w Paryżu, zdecydowanie opowiada się za ludem hiszpańskim, a przeciw rebelji...

I naodwrót. „Ta miłość jest wzajemna“. Republikanie hiszpańscy duszą całą są po stronie Chin. Choć może nie zawsze orjentują się, że wojna na Dalekim Wschodzie ma także swój aspekt społeczny, głębszy, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje. Freda Utley i David Wills w doskonałej, rzeczowej książeczce, p. t. „On peut arrêter le Japon!“[3]) piszą:

„Japonja usiłuje zniszczyć Chiny nie tylko dlatego, że walczą one przeciw niej, aby obronić swą wolność, lecz dlatego także, że Chińczycy stworzyli republikę na miejsce cesarstwa „Syna Nieba“, i ponieważ cywilizacja zachodnia nie przedstawia dla nich wyłącznie oręża zniszczenia, ale również wolność intelektualną, koniec starych przesądów, emancypację kobiet, demokrację i inne rzeczy, do których żywią wstręt ludzie, rządzący Japonja“.

Cokolwiek bowiem powiedziećby można o régime'ie Cziang-Kai-Szeka, nie sposób zaprzeczyć, że Chiny republikańskie robiły i robią wysiłki, aby dopędzić Europę. I tak n. p. chińskie ustawodawstwo pracy wybiega daleko naprzód poza obecne swoje warunki realizacyjne. Mogłoby być wzorem dla Japonji. Dlatego słusznie podkreślają cytowani wyżej autorzy angielscy:

„Gdy pierwsi barbarzyńcy wtargnęli do cesarstwa rzymskiego, nikt nie przewidział, że stara cywilizacja śródziemnomorska będzie zniszczona przez Gotów, Wandalów, Hunnów, Lombardów i Franków. Podobnie dziś mężowie stanu demokracyj zachodnich mówią: „Pocóż mamy interesować się Chinami? Są zbyt odległe, aby nas mogły obchodzić“.

Jednakże, jeśli Japonja teraz zwycięży, nasza generacja zobaczy w jej rękach Australję i Indje, a jeśli nawet koniec cywilizacji zachodniej nie nastąpi przed upływem kilku dziesiątków lat, to nie my, lecz nasze dzieci ujrzą Londyn ukarany dzisiejszym losem Nankinu.

Japończycy wyznaczają ideał, którego zwycięstwo oznaczałoby koniec wszystkich wartości, na jakich opiera się nasza cywilizacja. Chociaż używają uzbrojenia, wynalezionego przez wiedzę zachodnią, sposób patrzenia na rzeczy ich klasy rządzącej „jest bardziej barbarzyński, niż światopogląd królów, którzy rządzili Europą w średniowieczu“.

Na jednym z tych wielkich zgromadzeń ludowych w Paryżu, które skupiają dziesiątki tysięcy uczestników, przemawiała, wśród wielu innych mówców, La Pasionaria. Przemawiał także przedstawiciel Chin. A potem uformował się wielki pochód delegacyj z wieńcami. Niesiono ich dziesiątki dla bohaterskiej i męczeńskiej Hiszpanji republikańskiej.

I Pasionaria podzieliła wieńce. Na dwie równe części. Jedną przyjęła imieniem Hiszpanji. Drugą oddała delegatowi Chin.

Jakże trudno opisywać nam te paryskie wzruszenia! Uniesienie ogarnęło wówczas tysiączne tłumy. Ludzie płakali i całowali się na ulicach. Jeden gest Pasionarji uzmysłowił lepiej, niż cokolwiek innego, wspólność hiszpańskich i chińskich cierpień, zmagań, ideałów i losów.

Jakaż jest sytuacja na obu, tak bardzo od siebie odległych teatrach wojny?

W Hiszpanji ofenzywa faszystów została powstrzymana. Zahamowały ją wojska ludowe przeciwnatarciami nad Ebro, nad Segre, pod Teruelem i w Estramadurze. Obserwujemy tam powolne krzepnięcie, stabilizację frontów. Oznacza to definitywne przejście do walki pozycyjnej. Oznacza: wytężenie sił do przetrwania. Oznacza: krach faszystowskiej teorji „Blitzkampfu“, błyskawicznego rozstrzygnięcia wojny.

W Chinach Japończycy wciąż idą naprzód. Powoli, coraz wolniej, wśród rosnących z dnia na dzień trudności, coraz bardziej niepewni swego zaplecza, coraz bardziej niepewni granicy z Sowietami. Ale idą. Wydaje im się, że zdobycie Hankou zadecyduje o losach wojny.

Kto wie, czy o miasto to nie rozgorzeje największa bitwa w dziejach świata. Największa i najbardziej decydująca. Nie w Hiszpanji i nie w Czechosłowacji rozstrzygną się najprawdopodobniej losy cywilizacji. Od ćwierćwiecza przeszło, od momentu powstania republiki chińskiej, historyczny punkt ciężkości przenosi się coraz wyraźniej nad wschodnie wybrzeże Pacyfiku. Z dwóch krańcowych punktów aktualnej osi Madryt—Hankou, doniośléjszy jest — w najdalszych, najszerszych perspektywach — punkt azjatycki. Podbój Hiszpanji przez międzynarodowy faszyzm oznaczałby tylko poważne wzmocnienie barbarzyństwa. Podbój Chin przez imperjalizm japoński — to pierwszy i najważniejszy etap na drodze do światowej hegemonji Nipponu.

Dlatego z takiem natężeniem będziemy patrzeć w listopadzie na zmagania pod Hankou.

Hankou — wiemy o tem już dziś — przyszłe, chińskie Verdun.

Zygmunt Jarosz

[1]) „La Republica defiende el derecho de los niños a la alegria“. Tytuł rozprawki w „Boletin de Educacion“ (Walencja, maj 1937).

[2]) Piękną i prawdziwie rzeczową broszurę o tem zagadnieniu napisał José Renau, profesor Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Walencji („L'organisation de la défense du patrimoine artistique et historique espagnol pendant la guerre civile“). Liczne fotografje i szkice, zamieszczone w tej broszurze, wyjaśniają laikowi wiele trudności, związanych z ochroną zabytków artystycznych podczas wojny.

[3]) Tłumaczenie francuskie z liberalnej angielskiej „News Chronicle“.

MŁODZI POECI ŚLĄSCY

Bibljoteka „Kuźnicy“, t. I. **Wilhelm Szewczyk. Hanys.** Poemat. Katowice, 1938; str. 46. — T. II. **Jan Baranowicz.** Pieśń o jaworowym krzaku. Katowice, 1938; str. 87 i 1 nl.

Dwa tomy debjutowe — epika, Wilhelma Szewczyka i liryka, Jana Baranowicza, sygnalizują powstanie ruchu poetyckiego na Śląsku. Można mówić również i o nowym prądzie poetyckim, nowym oczywiście w sensie programowo - językowym, nie zaś w sensie akcesorjów poetyckich. W anonsie „Bibljoteki Kuźnicy“ czytamy: „Wilhelm Szewczyk, syn górnika z rybnickiego, ujął w swym poemacie „Hanys“ skrót życia bezrobotnego. Jan Baranowicz jest synem wsi...“ Czytając powyższy anons, mamy prawo spodziewać się owej świeżości prymitywu, wyrastającego z tych warunków socjo-psychicznych. Tymczasem spotyka nas rozczarowanie w sensie zarówno dodatnim jak i ujemnym. W sensie dodatnim, bo nowi poeci śląscy reprezentują niewątpliwy poziom kultury poetyckiej, w sensie ujemnym, gdyż ów poziom kulturalny nie wyodrębniałby się od poziomu naszej średniej produkcji poetyckiej (która stoi fakturalnie, być może, bardzo wysoko), gdyby nie pewne charakterystyczne transpozycje gwarowe, oraz pewna **programowość**, często szkodząca substancji poetyckiej wiersza. Spotyka nas rozczarowanie, gdyż jest to typowa poezja inteligentów, którzy fakt pochodzenia (syn górnika, syn chłopa) traktują **programowo** i usiłują tem epatować. U Baranowicza czytamy: „Ty poświadczysz, gdy przyjdzie pora mocnych świadczeń, że chłopem zrodzon — chłopem odszedłem do trumny“. Tak samo społecznie nie reprezentują poeci żadnej postawy, usiłując zadowolić czytelnika namiastkami radykalizmu i buntowniczej religijności w sensie raczej kasprowiczowskim, jeżeli chodzi o Szewczyka. W każdym razie należy zwrócić uwagę na nowe zjawiska poetyckie i podkreślić również atrybuty pozytywne debjutujących śląskich poetów.

Poemat epiczny Wilhelma Szewczyka, opisujący końcowy fragment życia bohatera eposu — górnika Hanysa, który straciwszy nogę przy pracy i otrzymawszy nędzną emeryturę, z której ma wyżywić całą rodzinę, kończy katastrofą — obłędem, służącym za kanwę rozważań społeczno-religijnych, jest próbą udaną. W związku ze zwrotem niektórych naszych poetów (Dobrowolski, Szenwald) do epiki, poemat Szewczyka jest pozycją niewątpliwą ze względu na osiągnięcie, które nie udało się ani Dobrowolskiemu ani Szenwaldowi. Chodzi mi o psychologizację fraz opisowych, osiągniętą przez sugestywność obrazowania. Owa sugestywność osiągnięta została drogą transformacji nasileń lirycznych, połączonych ze zmieniającem się odpowiednio do sytuacji nawarstwieniem obrazowem, przechodzącem w momentach kulminacyjnych w bryłowatość, jak to ma miejsce w mocnym opisie pogrzebu ofiar katastrofy górniczej. To co Szenwald usiłował zobjektywizować w nieudanych djalogach „Sceny przy strumieniu“, Szewczyk osiągnął przez subjektywizację opisu, np. w momencie, kiedy mówi o dzieciach Hanysa: „Widzi: najpyrtszy Gustlik, wielce umurcany, ku jej nogom powoli, bajukając, czołga. Małe, biedne paluszki. Ciepła kulka ciała, co nią targa jak płomień unoszący szloch“. Są w poemacie Szewczyka liczne potknięcia, zwłaszcza tam, gdzie występują tak zwane „akcenty programowe“. W dyssertacji końcowej górnika Hanysa, a i przedtem, gdzie dostrzec można pewne akcenty społeczne, widać chwiejność i nieskoordynowanie organizacji **społecznej** poety. Autor stwierdza stan rzeczy („Jest Polska — pisze — niech wam Polska da żrać“), ale kiedy usiłuje znaleźć rozwiązanie, załamuje się, co znajduje wyraz w niezbyt uzasadnionem odniesieniu: „Polską trza umieć wskrzesić nawet kamień przy drodze, ale z Warszawy musi przyjść nowa, mocna wieść, co w sercach nas maluczkich (podkreślenie moje), jak sztandar załopoce“. O jaką wieść autorowi chodzi? Nie znajdujemy na to w poemacie odpowiedzi. Tak samo bardzo dziwna jest gloryfikacja bieda-szybów w pewnej części poematu, która kończy się w taki sposób: „Hanys pojutrze może znowu może furę sprzeda, dziś nafedrował dużo aż mu się Stefa zgrzała. Jakieś ta będą święta, **przytłumi się biedę, nie dał im Bóg za wiele, nie dał też zamało**“ (podkreślenie moje). Nie można oczywiście wszystkiego kłaść na karb nieświadomości czy nieskrystalizowania poety: pewne ustępy mają posmak tendencyjny. Tem gorzej dla niewątpliwych zdolności poety, który w ten właśnie sposób utrudnia sobie znalezienie drogi, którą w momentach czysto poetyckich osiągał. W niektórych momentach w często widocznych prozaizmach, dostrzec można proces przełamywania prymitywu. Metaforyka miejscami póławangardowa, zbliżona do imaginizmu rosyjskiego, a zatem do futuryzmu polskiego. W każdym razie Szewczyk jest talentem niewątpliwym, a ponieważ proces przełamywania prymitywu jeszcze w nim zachodzi, świadczy to o pewnych niewykorzystanych możliwościach. Wszystko zależy od tego, w którą stronę będzie ów prymityw przełamany, na co wpłynie w głównej mierze zdeklarowanie światopoglądu, który w stanie obecnym nie może być uważany, ani w sensie społecznym, a co dopiero klasowym, za pozytywny.

Jan Baranowicz w odróżnieniu od Szewczyka, prócz tego, że jest lirykiem, jest także skończoną indywidualnością. Mam na myśli swego rodzaju wirtuozerję formalną na polu metryki konwencjonalnej, mającą wiele wspólnego ze względu na balladowość ludową z Leśmianem, a jeżeli chodzi o transpozycje rytmiczno-wersyfikacyjne, z Jasieńskim. Pozatem proces przełamywania prymitywu jest u Baranowicza niewidoczny i gdyby nie programowe stylizacje gwarowe, Baranowicz nie różniłby się w niczem od poetów w sensie poetyckim mu pokrewnych. Mniej tutaj, niż u Szewczyka, wypowiedzi społecznych, ale te, które się w tomie znajdują, są tak samo niewyraźne i ogólnikowe: „Ojcowizno, oto sięglim głosu. Dziś twoją wielkość prowadzim na start“. Dużo tu ogólników, naiwnych (być może, celowych) rozróżnień („Bóg przegapił bednarzynę, nad bogaczem przyjaźń rozsnuł“.) w pewnym nawet sensie, radykalnych. Owe rozróżnienia mają przeważnie nawiązania religijne i to jest właśnie najciekawsza strona twórczości poety. Z dwoma poetami wykazuje Baranowicz pewne pokrewieństwo: z Kasprowiczem („Madonna Gidelska“ — zbliżona w fakturze formalnej do „Księgi ubogich“) oraz z jednym z najciekawszych poetów Polski powojennej, zmarłym parę lat temu — Jerzym Liebertem. Owo pokrewieństwo z Liebertem dotyczy rytmizacji wierszy i budowania utworów na szkielecie litanji czy kantyczek. Są jednak duże różnice: o ile u Lieberta proces wersyfikacyjno-rytmiczny był tylko środkiem głębokiej wypowiedzi lirycznej, u Baranowicza jest często celem. Nawiązania religijne traktuje Baranowicz od poetycznej raczej strony, pociąga go ornamentyka, jego stosunek do obrazu jest bardziej liturgiczny, aniżeli religijny, co znajduje zresztą wyraz w wierszu „Do Chrzestnej“: „Nie wielbię Teres i Weronik, zakwitam twem wspomnieniem“. Temniemniej osiąga Baranowicz bardzo ładny efekt w stylizowanej „Litanji Loretańskiej“: „Święta pośniem w lęku — Święta Panno nad Pannami — obsyp myśli konwaljami, by pachniały wiotsze od pęków“. Poemat tytułowy „Pieśń o jaworowym krzaku“ wywodzi swój rodowód od romantyzmu, a ściślej od „Lilij“ Mickiewicza i niepozbawiony jest pewnego wydźwięku społecznego. Jest to upoetyzowana przypowieść ludowa o biednym i chorym bednarzu, którego żona w przystępie rozpaczy morduje synka, zamordowanego podaje na obiad, kości zakopuje nieświadoma córeczka w ziemię, z której wykwita w tem miejscu krzak jaworowy. Miejscowy „świątek-ciamajda“ ulinił z tego krzaku fujarkę: „A łkał ci tryl tak: Mamusia mnie zabiła, tatuś mię zjadł — siostrzyczka mię pochowała pod jaworu krzak“.

Pozostałe wiersze tomu są niepokojąco poprawne w swojej nienaganności wersyfikacyjnej, co, jeżeli chodzi o horoskopy na przyszłość, grozi poważnem niebezpieczeństwem wierszopisarstwa konwencjonalnego, przemieniającego **poetyckość w poetyczność.**
Dużo zresztą tutaj zależy od stabilizacji poetycko-społecznej, która mogłaby się przyczynić do rozwinięcia się widocznych w obu tomach zalążków.

W każdym razie nowy ruch poetycki, a właściwie pierwszy ruch poetycki, na Śląsku jest zjawiskiem ciekawem i godnem uwagi.

Jerzy Kamil Weintraub

JÓZEF LUBOJAŃSKI

ROLA STRONNICTWA PRACY

Powstanie Stronnictwa Pracy było nowym etapem w procesie rzeczywistej i zdrowej konsolidacji społeczeństwa polskiego wokół rzeczywistych interesów i wyraźnych programów. Po osiągnięciu wspaniałej jedności w ruchu robotniczym i chłopskim, powstanie Stronnictwa Pracy było dowodem postępującej konsolidacji tych grup społecznych, których politycznym wyrazem w normalnych warunkach życia politycznego stają się partje centrowe. I dlatego wszyscy w Polsce, którzy umieją pogodzić interesy partyjne z potrzebami kultury polskiego życia politycznego, powitali powstanie Stronnictwa Pracy z zadowoleniem, często zdając sobie jasno sprawę z tego, że Stronnictwo Pracy to przeciwnik — narazie potencjonalnie — groźny i silny. Nie mamy potrzeby ukrywać, że polski obóz demokratyczny z jednego jeszcze powodu przychylnem okiem patrzył na powstanie Stronnictwa Pracy. Rozumieliśmy, że dopóki partja ta pozostanie wierną swoim zadaniom, wynikającym zarówno z programu jak i objektywnych warunków naszej sytuacji politycznej, musi się przyczynić do poważnego osłabienia polskiego faszyzmu przez odciągnięcie odeń grup katolickich i mieszczańsko-demokratycznych, które nie mogąc znaleźć drogi do lewicy, a pozbawione własnego jądra krystalizacyjnego, skazane były na grawitowanie ku „katolicko-narodowemu“ faszyzmowi Stronnictwa Narodowego. Również znane poglądy kierowników nowego stronnictwa na polską politykę zagraniczną przyczyniły się niewątpliwie do tego, że opinja demokratyczna oceniła dodatnio fakt powstania Stronnictwa Pracy, widząc w niem wzmocnienie polskiej demokracji w walce z faszyzmem. Niektórych przewódców nowej partji, na których ciąży przekleństwo endeckiego pochodzenia, ta przychylna opinja demokratyczna przeraziła i skłoniła do nienaturalnego flirtu ze Stronnictwem Narodowem. Ci ludzie nie rozumieją, że można, nie wyrzekając się absolutnie swoich własnych poglądów, przy odrobinie kultury politycznej ocenić objektywnie rolę przeciwnika politycznego. Nie wszystko w polityce musi być nielojalną grą i nieczystą intrygą.

Katolicy polscy nie mieli stronnictwa, któreby mogło uchodzić za polityczną reprezentację polskiego obozu katolickiego w tym sensie, w jakim za taką reprezentację mogła uchodzić niemiecka partja centrowa, za jakie uchodzą silne partje katolickie w Holandji i Belgji. Jeśli chodzi o niemiecką partję centrową trzeba zrobić to zastrzeżenie, że potężna partja Windhorsta powstała w specyficznych warunkach protestanckich Niemiec i okrzepła w ogniu „Kulturkampf“-u. Katolikami polskimi podzieliło się kilka partyj, które z mniejszem lub większem prawem, szermowały hasłami katolickiemi. Z wyjątkiem P. P. S-u niema w Polsce partji, któraby się nie uważała za katolicką. Rozbicie polityczne katolików polskich trwa po dzień dzisiejszy, bo Stronnictwo Pracy tylko potencjonalnie może być uznane za miarodajną reprezentację polityczną polskiego obozu katolickiego.

Powstanie Stronnictwa Pracy było przedewszystkiem dziełem instynktu samozachowawczego dwóch dogorywających na marginesie polskiego życia politycznego grup — Narodowej Partji Robotniczej i Chrześcijańskiej Demokracji. Próby połączenia były czynione kilkakrotnie, zawsze jednak kończyły się fiaskiem, bo każdy z partnerów miał jeszcze nadzieję odegrania samodzielnej roli politycznej. Widocznie kierownictwa obu partyj pożegnały się ostatecznie z tą nadzieją, skoro tym razem pertraktacje połączeniowe skończyły się pozytywnie. Byłoby jednak zbytniem uproszczeniem sprawy, gdybyśmy w Stronnictwie Pracy widzieli jedynie spółkę dwóch bankrutów politycznych, zawartą w celu umożliwienia sobie dalszej wegetacji. Poza doraźnemi interesami partyjnemi działały tu przyczyny głębsze, które każą obserwować nowe stronnictwo z uwagą znacznie większą niż ta, na jakąby zasługiwało, gdyby było tylko prostym paktem politycznym między Korfantym a Popielem. I tak sądzę, że na powstanie i dalszy rozwój Stronnictwa Pracy poważny wpływ wywarły zmiany, zachodzące w dzisiejszym katolicyzmie, to wszystko, co rozumiemy pod pojęciem katolicyzmu społecznego. Nie wiem oczywiście, czy myśleli o tem twórcy Stronnictwa Pracy. Ci, którzy w ostatnim czasie mieli sposobność mówić w Czechosłowacji z Korfantym, twierdzą, że jest on pod silnemi wpływami neokatolicyzmu francuskiego. Nielależnie jednak od intencyj twórców Stronnictwa Pracy jest faktem, że liczne grupy, zwłaszcza młodzieży, które weszły do nowej partji oraz wielu publicystów bliskich temu stronnictwu uważa Stronictwo Pracy za polityczny wyraz polskiego katolicyzmu społecznego. Zresztą wszystkie deklaracje programowe Stronnictwa Pracy opierają się na ideowych założeniach katolicyzmu społecznego.

Coprawda katolicy społeczni mieliby w myśl katolickiej zasady „in dubiis libertas“ zapewne niejeden zarzut przeciwko identyfikowaniu katolicyzmu społecznego z jakąkolwiek partją. Niewątpliwie jednak katolicyzm społeczny, głosząc potrzebę katolicyzmu integralnego i dynamicznego (oczywiście, nie w sensie katolickiego totalizmu), katolicyzmu, który nie może się pogodzić z zasadą: „religja jest sprawą prywatną“, stwarza warunki do powstania partji katolickiej, któraby zgadzając się teoretycznie z zasadą: „in dubiis libertas“, w praktyce dążyła do stania się jedyną reprezentantką polityczną katolików. Wyłączność bowiem leży u podstaw wszelkiego działania politycznego. Kardynalne różnice występują dopiero wtedy, gdy chodzi o metody, jakiemi ta wyłączność ma być osiągnięta. Stronnictwo Pracy ma wszelkie dane, by stać się politycznym wyrazem tych prądów katolicko-społecznych, które coraz głębiej nurtują martwy w swojem zacofaniu katolicyzm polski. Oczywiście, Stronnictwo Pracy spełni tę rolę tylko wtedy, gdy jego kierownicy nie zatracą programowego katolicyzmu społecznego w gąszczu misternych intryg taktycznych, do jakich usposabia ich niezdrowa atmosfera partyj kanapkowych, którą wnieśli do Stronnictwa Pracy, jako spadek po N. P. R. i Ch. D.

Program Stronnictwa Pracy da się sprowadzić do katolicyzmu społecznego, a jego taktyka, do „Frontu Morges“. Mało jest w polskiej publicystyce politycznej pojęć równie niejasnych, jak pojęcie Frontu Morges. Pierwsza wzmianka o tajemniczym Froncie Morges ukazała się w prasie bodaj w okresie kanikuły i odtąd Front Morges grasuje na szpaltach prasy polskiej, niczem legendarny wąż morski. Większość publicystów, którzy piszą na ten temat, podkłada pod pojęcie Frontu Morges wytwory własnej wyobraźni. Z przykrością trzeba stwierdzić, że do tej niejasności niemało przyczyniają się sami kierownicy Stronnictwa Pracy. Niekiedy trudno się oprzeć wrażeniu, że przewódcy tego stronnictwa uważają politykę za celebrowanie tajemniczych misterjów. Spróbujmy określić bliżej pojęcie Frontu Morges nie uciekając w kraj fantazji. Niedługo po pojawieniu się koncepcji Frontu Morges rozmawiałem na ten temat z wybitnym działaczem późniejszego Stronnictwa Pracy. Zdaniem mego rozmówcy koncepcja Frontu Morges, według pierwotnych intencyj jej twórców, miała polegać na najszerszem porozumieniu wszystkich stronnictw opozycyjnych — od Stronnictwa Narodowego aż po P. P. S. celem obalenia regime'u sanacyjnego. Nierealność tej koncepcji była oczywista. Ponieważ w danym przypadku musiałem odrzucić podejrzenie nieszczerości, wypadło mi jedynie podziwiać naiwność mego rozmówcy, człowieka zresztą bardzo inteligentnego. Nie przypuszczam, by twórcy Frontu Morges choćby przez chwilę podzielali złudzenia mego rozmówcy. Zapewne to, co mi powtórzył mój rozmówca, przeznaczone było dla propagandy, wewnątrz własnej partji. Ponieważ — tak przedstawiał mi dalej mój rozmówca genezę Frontu Morges — zarówno P. P. S. jak i Stronnictwo Narodowe ustosunkowały się bezwzględnie negatywnie do koncepcji takiej sui generis świętej wojny wszystkich opozycjonistów przeciwko sanacji, przeto koncepcja Frontu Morges z konieczności ograniczyła się do porozumienia centrowego, które objąć miało N. P. R., Ch. D. oraz Stronnictwo Ludowe. Po połączeniu się N. P. R-u i Chadecji trzonem Frontu Morges ma być porozumienie Stronnictwa Pracy i Stronnictwa Ludowego. W tem ujęciu koncepcja Frontu Morges wygląda na coś więcej niż prosty wymysł dziennikarski.

Po znanej mowie katowickiej wicepremjera Kwiatkowskiego, którą prasa Stronnictwa Pracy powitała ze szczególnem uznaniem, koncepcja Frontu Morges uległa pewnej modyfikacji. Zdaniem przywódców Stronnictwa Pracy zarysowała się możliwość kompromisu między partjami, które stanowić mają rdzeń Frontu Morges, a niektóremi kołami obozu rządowego. Demokratycznemu hasłu rządu robotniczo-chłopskiego politycy Stronnictwa Pracy zamierzają przeciwstawić hasło rządu zjednoczenia narodowego, w którego skład weszliby obok znanych polityków, należących do Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy, albo bliskich temu stronnictwu, także niektórzy politycznie mniej zużyci przedstawiciele obozu rządowego. Jest to — zdaniem twórców tej koncepcji — jedyny sposób wyprowadzenia Polski z impasu sanacyjnego bez głębokich wstrząsów, któreby Polsce groziły „zbolszewizowaniem“. Nie jest rzeczą wykluczoną, że taka koncepcja znalazła przychylne przyjęcie w niektórych kołach obozu rządowego.

Chorobą dziecięcą tej koncepcji jest to, że powstała ona w dalekim Morges, a więc w oderwaniu od objektywnych warunków politycznych w Polsce. Opiera się ona nie na faktach, ale na złudzeniach i pobożnych życzeniach. Podstawą wszystkich tych złudzeń jest nadzieja, że uda się rozbić sojusz robotniczo-chłopski, którego wyrazem jest współpraca P. P. S. i Stronnictwa Ludowego. Autorzy tej koncepcji traktują Stronnictwo Ludowe jak pierwszą lepszą partję chłopską z pierwszych lat naszej niepodległości. Sądzą, że pozyskanie kilku przewódców ludowych zadecyduje o stanowisku mas chłopskich. Nie rozróżniają między taktyką partyj kanapkowych, która się opiera na intrygach, a taktyką wielkich ruchów masowych, która wyrasta z rzeczywistości politycznej i jest niezależna od widzimisię jednego lub drugiego przewódcy. Zresztą jesteśmy przekonani, że w Stronnictwie Ludowem niema odpowiedzialnych przewódców, którzyby się zgodzili przyjąć ryzykowne koncepcje polityków ze Stronnictwa Pracy. Politykierów chłopskich w rodzaju p. Brożka trudno uznać za odpowiedzialnych przewódców Stronnictwa Ludowego. Chłopy to nie jołopy i umieją odróżnić należycie wartość sojuszu z potężnym ruchem robotniczym od sojuszu ze Stronnictwem Pracy. I dlatego wszelkie intrygi, zmierzające do wbicia klinu między ruch socjalistyczny i ruch ludowy skończyć się muszą niepowodzeniem, choć wywołać mogą wiele zamieszania, które napewno w interesie demokracji nie leży. Nie trzeba dodawać, że rząd zjednoczenia narodowego, o którym marzą politycy ze Stronnictwa Pracy, byłby organicznie niezdolny do rozstrzygnięcia wielkich problemów, które stoją przed Polską dzisiejszą. W najlepszym razie rząd taki przedłużyłby istniejący stan niepewności.

Najnowszą woltą taktyczną Stronnictwa Pracy jest jego flirt ze Stronnictwem Narodowem oraz próby zbliżenia ludowców do narodowców. Absurdalność pomysłów o współpracy ludowców z Stronnictwem Narodowem jest oczywista. Takie pomysły mogą rodzić się tylko w ośrodkach bardzo dalekich od polskiej rzeczywistości politycznej. Jak wytłumaczyć, że partja, która stale deklaruje swoją wierność demokracji, myśli o współpracy z obozem faszystowskim, siejąc równocześnie zamęt wewnątrz obozu demokratycznego? Nie wszystko da się tu wyjaśnić brudnemi intrygami, których dopatrują się w całej tej akcji niektóre pisma demokratyczne. Przedewszystkiem trzeba zwrócić uwagę na znaczne różnice ideowe między poszczególnemi grupami, które weszły w skład Stronnictwa Pracy. Od wyraźnie antyfaszystowskiej i społecznie radykalnej młodzieży „Jedności“ poprzez byłych rewolucjonistów (prof. Kulczycki), chadeków, byłych sanatorów aż po odpryski Stronnictwa Narodowego, to wszystko znalazło się pod dachem Stronnictwa Pracy. W stronnictwie, które nie ma zasięgu masowego, taka mozaika ideowa utrudnia oczywiście wykreślenie prostej linji taktycznej. We władzach Stronnictwa Pracy spotkali się emeryci wojskowi i polityczni z różnych partyj, którzy naturalnie nie przyczyniają się do wyjaśnienia taktyki stronnictwa. Dużo tłumaczą pewne momenty psychologiczne. Nie zapominajmy, że wszystkie prawie grupy, które weszły do Stronnictwa Pracy, wywodzą swój ród w linji prostej albo bocznej z pnia endeckiego. To dużo znaczy. Widzimy tu to samo zjawisko, które obserwowaliśmy w obozie lewicowym po przewrocie majowym. Ponieważ Piłsudski wyszedł ze wspólnego obozu niepodległościowego, wielu lewicowców pierwszej próby nieraz bardzo długo nie rozumiało zupełnie ewolucji, jaką odbył obóz Piłsudskiego. To samo widzimy dzisiaj u polityków Stronnictwa Pracy. Właśnie wspólność pochodzenia politycznego odbiera wielu z nich zdolność zrozumienia dzisiejszej roli endecji. Zapominają o tem, że endecja nie tylko przestała się nazywać Stronnictwem Narodowo - Demokratycznem, ale że porzuciła także ostatecznie szańce demoliberalizmu i stała się partją o charakterze zdecydowanie faszystowskim. Tylko z tego psychologicznego punktu widzenia można zrozumieć takie poglądy, że Stronnictwo Pracy chętnie pomoże Stronnictwu Narodowemu w dojściu do władzy, zachowując prawo rzeczowej krytyki („Zwrot“). O sancta simplicitas! Ludzie, którzy wypisują takie rzeczy, nie nauczyli się niczego w ciągu ostatnich lat piętnastu.

Można zrozumieć próby Stronnictwa Pracy, zmierzające do wykopania przepaści między socjalistami i ludowcami. Dziwię się publicystom lewicowym, którzy doszukują się tu jakichś tajemniczych machinacyj. Jest to tylko konsekwentne realizowanie koncepcji Frontu Morges i Stronnictwo Pracy wcale nie czyni z tego tajemnicy. Jest to coprawda robota objektywnie dla demokracji szkodliwa i — w gruncie rzeczy — praca syzyfowa. Ale mieści się to wszystko jeszcze w granicach logicznego myślenia i działania. Nie można tego powiedzieć o pomysłach współpracy ze Stronnictwem Narodowem. Jeśli się nie chce posądzać kierowników Stronnictwa Pracy o podejrzane intrygi, które w tym wypadku byłyby już naprawdę bardzo brudne, to trzeba ich posądzić o bezgraniczną naiwność, która nie przystoi kierownikom poważnego stronnictwa, za jakie się uważa i za jakie chcielibyśmy uważać Stronnictwo Pracy.

Ci wszyscy, którzy, niezależnie od swoich przekonań politycznych, poprostu dla dobra polskiej kultury życzą jak najlepiej polskim prądom katolicko - społecznym, z niepokojem patrzą na łamańce taktyczne Stronnictwa Pracy. Tu nie chodzi już o doraźne korzyści polityczne. Jesteśmy głęboko przekonani, że intrygi niektórych polityków ze Stronnictwa Pracy mogą wywołać najwyżej pewne zamieszanie, nie wpłyną jednak na ostateczny przebieg wypadków politycznych w Polsce. Gdy na arenę polityczną wchodzą wielkie ruchy masowe, intrygantom i graczom politycznym pozostaje tylko rola kibiców. Ale byłaby to niewątpliwa szkoda, gdyby młody polski katolicyzm społeczny lekkomyślni politycy sprowadzili na bezdroże niewyszukanych intryg. Kierownicy Stronnictwa Pracy lepiejby zrobili, gdyby zamiast budować zamki na chmurach, określili swój stosunek do powstającego spontanicznie frontu demokratycznego, który ma tę wyższość nad koncepcją Frontu Morges, że nie urodził się na herbatce politycznej, ale wyrasta z rzeczywistych potrzeb i dążeń polskiego ludu.

Człowiek istota nieznana

Bibljoteka Wiedzy, t. 32. Dr. Alexis Carrel, laureat Nobla. Człowiek istota nieznana. Przełożył Ryszard Świętochowski. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski (1937); str. XVI i 272.

Cel i treść swojej książki autor określa w słowach: „Książka niniejsza pragnie jedynie udostępnić każdemu całokształt wiadomości naukowych, dotyczących istoty ludzkiej naszej epoki“. Opracowanie treści, prowadzące do tego celu, jest podzielone na 8 rozdziałów pod tytułami: O potrzebie poznania samego siebie, Nauka o człowieku, Ciało i czynności fizjologiczne, Czynności umysłowe, Czas wewnętrzny, Czynności przystosowania, Jednostka i Odbudowa człowieka.

Jak widzimy, objęty książką materjał naukowy w pięciu rozdziałach specjalnych (II—VI) jest bardzo obszerny i formalnie obejmuje całość „wiadomości naukowych o istocie ludzkiej“. Ale w opracowaniu na 175 stronicach (24—198) materjał ten nie może być nie tylko wyczerpujący, ale nawet jak najbardziej pobieżny. A przytem jest rozrzedzony przez dygresje o poglądach społecznych. Autor w przedmowie mówi, że „zdawał sobie sprawę z trudności nierozłącznie związanych ze śmiałością samego przedsięwzięcia“, że „konieczność zredukowania do małego tomu wiadomości o istocie ludzkiej... zmusiła do wypowiadania twierdzeń dogmatycznych, pomimo, że one były tylko wnioskami z obserwacji i doświadczeń... Większość fenomenów organicznych i umysłowych była traktowana nader schematycznie... Starał się więc pisać krótko, aby na jak najmniejszej przestrzeni zmieścić dużą liczbę pojęć zasadniczych. I mimo to nie być zbyt elementarnym. Aby nie przedstawić ogólowi rzeczywistości w formie ułatwionej czy dziecinnej. Strzegł się przed dokonaniem dzieła uproszczeń naukowych, bo zwraca się zarówno do uczonego, jak i do laika“.

Ale i te zastrzeżenia nie są wystarczające. Wiadomości o istocie ludzkiej, oczywiście, nie można zmieścić na 175 stronach książki z zastrzeżeniami, aby „nie być zbyt elementarnym, nie przedstawić rzeczywistości w formie ułatwionej czy dziecinnej, nie dokonać dzieła uproszczeń naukowych“, tem bardziej, że w tem, co dał, autor nie był zwięzły. Swoje twierdzenia dogmatyczne w formie schematycznej autor zawsze wypowiada nie w jednem, lecz w kilku, a nawet w szeregu zdań równoznacznych, — jak na wykładzie.

W zakresie wiedzy, ujętej ściśle o istocie ludzkiej autor rozpatruje i daje dwa zasadnicze pojęcia o człowieku, które faktycznie mają bardziej ogólny zakres biologiczny o organizmie wielokomórkowym, jako o zbiorowości organizmów, prowadzących w warunkach specyficznych życie indywidualne w cieczach organicznych, zamkniętych w przestrzeni, ograniczonej skórą i błonami śluzowemi organizmu człowieka, „jak żyją ryby w wodzie“, i jako o jedności — niepodzielnej jedności tej zbiorowości w tworze indywidualnym istoty ludzkiej (wogóle każdego organizmu wielokomórkowego). Mówiąc w wyszczególnionych przez nas pięciu rozdziałach o budowie i życiu tej zbiorowości i jedności istoty ludzkiej (n. p. organizmu wielokomórkowego) autor obszernie i kwiecićie obrazuje wciąż te dwa uogólnienia, powołując się obficie na rozmaite uogólnienia starszych i najnowszych, największych badaczy i włączając szeroko materjał spoza granic wiedzy biologicznej, łącznie z higjeną i eugeniką — ze statystyki, socjologji, pedagogiki, polityki i poglądów socjalnych własnych, przyczem dogmatycznie wypowiada twierdzenia nieraz bardzo naiwne, jak to czynią wogóle, a tym bardziej, im sami są większi, badacze specjaliści, ilekroć wykraczają poza granice swych specjalności. Spowodu tej charakterystyki wyodrębnione przez nas pięć rozdziałów o tytułach z zakresu wiedzy biologicznej w treści mało się różnią od pozostałych trzech. Musimy tu też przytoczyć zastrzeżenie autora, od którego rozpoczyna on swoją przedmowę (str. XI): „Piszący tę książkę nie jest filozofem. Jest tylko i poprostu pracownikiem naukowym... Zatem nie rości pretensji do pojmowania rzeczy, które znajdują się poza obrębem spostrzeżeń naukowych“ (?).

*

Wszystkie wiadomości biologiczne o istocie ludzkiej zawierają się właściwie tylko w jednym — trzecim rozdziale: „Ciało i czynności fizjologiczne“, zajmującym 49 str. (48—96). Jest to opis zbiorowości, składającej się na organizm ludzki, jako samowystarczalnej społeczności przetwórców, bo opartej na biologicznie niezależnym od niej dopływie surowców z zewnątrz. Oczywiście, niema tu znaczenia okoliczność, że człowiek, już jako całość i jedność, musi pracować dla zapewnienia tego dopływu surowców i są organizmy wielokomórkowe, zupełnie analogiczne biologicznie, czyli biologicznie żyjące tak samo, od tego warunku wolne.

Czynności fizjologiczne organizmu rozłożone są kolejno na grupy: wegetatywne, czyli odżywcze, płciowe i rozrodcze, i intelektualne. Czynności, należące do każdej z tych trzech grup są jednak zależne i wzajemnie w zależności od siebie trzymają te, które należą do pozostałych dwóch grup: faktycznie każda poszczególna czynność zależy od wszystkich innych i wzajemnie uzależnia od siebie te wszystkie inne. Ten rozdział daje czytelnikowi pewne pojęcie o charakterze struktury i o życiu biologicznem istoty ludzkiej.

Ponieważ człowiekowi jego osobowość przedstawia się z dwóch różnych stron, na dwóch drogach poznania i przez introspekcję od wewnątrz jako zbiorowość czuć i przez extraspekcję od zewnątrz jako ciało jego i innych, — jak twierdzi autor — przypisuje się jej dwojaki skład: z ciała i duszy. Byłoby istotnie ciekawe stwierdzić, czy to z tego i tylko z tego powodu człowiek przypisuje sobie duszę nieśmiertelną, której odmawia formom pobratymczym zwierząt, którym zresztą przy takiem przedstawieniu musi odmawiać i pobratymczości biologicznej. Dla biologa jednak to ostatnie jest niemożliwe. Autor też dodaje zaraz: lecz nigdy nie obserwowano duszy bez ciała, ani ciała bez duszy; nawet, jeśli się zapuścimy w nierozplątany labirynt mózgu i funkcyj nerwowych, nigdzie nie spotkamy świadomości: dusza i ciało są tworem naszych metod obserwacyjnych, są przez nie wykrojone z całości niepodzielnej. I na tem koniec. Autor nigdzie nie mówi, że świadomość — ten przejaw duszy, której jak i ciała nie należy wykrawać z całości niepodzielnej, jest funkcją ciała, jako organizacji materji; zresztą nie wyznaje tego poglądu; choć uczony przyrodnik, stoi na stanowisku równorzędności dualistycznej ciała i duszy. przyczem sam ten dualizm jest sztuczny. Wielokrotnie w całej książce występuje przeciwko jednostronnemu rozpatrywaniu istoty ludzkiej zarówno od strony ciała, jak i od strony duszy i domaga się jednocześnie obustronnego jej rozpatrywania. Jak sobie wyobraża usunięcie tego podziału na ciało i duszę — nie mówi.

Jasne jest samo przez się, że zapuszczanie się w labirynt organizacji nie może doprowadzić do wyjścia z ram tej organizacji, do znalezienia czegoś, coby leżało poza ramami tej organizacji jako odrębna jakość choćby tylko w sposobie ujmowania przedmiotu przez badającego. Ani zapuszczanie się w badanie tej odrębnej jakości nie może doprowadzić do żadnego jej związku z organizacją substratu, bez którego jakość nie występuje. Przyrodnicy już dawno doszli do stwierdzenia nierównorzędności ciała i duszy, oczywiście, nie na tej podstawie, że nigdy nie obserwowano duszy bez ciała, ani ciała bez duszy, lecz na tej, że nigdy nie obserwowano duszy bez ciała, obserwowano zaś ciało bez duszy — choćby po śmierci, a nawet w stanach chorobowych. I doszli do wniosku, że wszelka czynność, jak najbardziej duchowa jest czynnością fizjologiczną, a wszelka czynność fizjologiczna — funkcją cielesną, czyli zjawiskiem wtórnem obok przymiotu cielesnego. Oczywiście, z ciała, jako tworu zorganizowanego, jakim jest każde ciało — nie tylko żywe i nie tylko organiczne, ale każde fizyczne — nie można oddzielić tych procesów, przez których działanie ono powstało, ale które zawsze, w każdym rozwojowym momencie były zawsze wtórne wobec prymatu organizacji cielesnej, czyli materjalnej, na którego podłożu się odbywały. I na podstawie niezmienności tego stosunku dochodzi się do stwierdzenia prymatu abstrakcyjnej materji w stosunku do abstrakcyjnej „siły“, czyli do stanowiska materjalistycznego w przeciwstawieniu zarówno do dualistycznego, jak i do idealistycznego, przyznającego prymat abstrakcyjnej „sile“, lub abstrakcyjnemu „duchowi“. Stanowisko to jest empiryczne, czyli oparte na doświadczeniu, t. j. na stwierdzeniu tego właśnie, nie zaś odwrotnego stosunku, za którym przemawiają wszystkie bez wyjątku zaobserwowane zjawiska. Takie udowodonienie uważane jest za dostateczne przez naukę, każdą empiryczną naukę, wobec wielkiej obfitości każdej kategorji zjawisk zaobserwowanych i niemożności przeciwstawiania im niezaobserwowanych, w których liczbie mogłoby się w zasadzie znaleźć dowodzące tezy przeciwnej. Choć bywały wypadki obserwowania zjawisk nowopoznawanych, każdorazowo jednostkowych, które przemawiało przeciwko jakiejś tezie ogólnoprzyjętej, to jednak zawsze dotąd rzecz się wyjaśniała albo w sensie pozorności tej przeciwstawności, albo w sensie sprostowania tezy ogólnoprzyjętej bez naruszenia zasadniczego stanowiska materjalistycznego. Dotąd niczego przeciwnego temu w żadnej empirycznej nauce przyrodoznawczej nie zaobserwowano i dlatego dotąd każdego przyrodnika obowiązuje stanowisko materjalistyczne. I istotnie w zakresie swego badania przyrodoznawczego każdy przyrodnik zawsze jest, bo nigdy nie może nie być materjalistą. Tak już i z naszym autorem, ilekroć wypowiada zdania przyrodoznawcze: „nasze postępowanie i jakość naszych myśli zależą od wartości ciśnienia w tętnicach; gruczoły płciowe wzmacniają nasze czynności fizjologiczne, umysłowe i duchowe; ich wydzielane substancje, które się dostają do krwi, piętnują tkanki, narządy i świadomość cechą męską lub żeńską; jądra — zuchwałość, brutalność, gwałtowność, — jajniki wywierają działanie analogiczne na organizm kobiety (czyli nadają cechy kobiecości); ludzie i zwierzęta dają się wychowywać dzięki tej (wszystko jedno jakiej) właściwości systemu nerwowego; właśnie w korze mózgowej powstają odruchy warunkowe Pawłowa: pies wydziela ślinę na widok osoby, która zazwyczaj przynosi mu pożywienie; świadomość **(świadomość!)** trzewna myli się rzadko (chodzi tu o przeczuwanie śmierci przez człowieka zdrowego albo chorego, które autor odnosi do „ośrodka świadomości trzewnej“).

Dalej z tą „świadmością“ robi się niedobrze. Powiedzmy: siedzę w kabinie windy na dole; naciskam guzik pierwszego piętra — winda przenosi mnie na pierwsze piętro; naciskam guzik parteru — winda przenosi mnie spowrotem nadół. Ale jeżeli na dole naciskam guzik parteru — winda stoi; na pierwszem piętrze naciskam guzik pierwszego piętra — winda stoi. Wygląda, że winda wie, gdzie się znajduje.

Takim właśnie arystotelesowskim językiem nasz autor mówi, kiedy oddala się od tematu badania. Czytamy w podrozdz. XIII rozdz. III-go: rzekłbyś, że komórki, nawet wówczas, gdy stały się elementami niezliczonej mnogości, zachowują wspomnienie swojej jedności pierwotnej; znają zgóry czynności, które są im przeznaczone w całości organizmu; wrodzona świadomość roli, którą mają odgrywać w całości, wyraża się w zachowaniu się elementów ciała (leukocytów, pożerających mikroby w próbówce); (narząd) jest utworzony przez komórki, które zdają się znać kształt gmachu przyszłego; znają przyszłość równie dobrze, jak chwilę obecną. Jednocześnie autor zarzuca Jeansowi, że „wierzy i poucza, że Bóg, twórca wszechświata gwiezdnego, jest matematykiem“.

W rozdz. IV „Czynności umysłowe“, autor stwierdza, że: czynności umysłowe zależą niewątpliwie od czynności fizjologicznych; przypuszczamy, że mózg jest siedzibą aktywności psychicznej, ponieważ uszkodzenie tego organu wywołuje zaburzenia natychmiastowe i głębokie w świadomości; u dzieci inteligencja i mózg rozwijają się jednocześnie; inteligencja maleje, gdy następuje uwiąd starczy ośrodków nerwowych; zarazki śpiączki, atakujące ośrodki centralne, powodują głębokie zaburzenia osobowości; słowem, objawy życia umysłowego zależą od stanu mózgu; podobnie jak działalność intelektualna, zmysł moralny wywodzi się z pewnego stanu strukturalnego i czynnościowego naszego ciała; ten stan zależy od budowy wewnętrznej naszych tkanek i naszego umysłu, a także od czynników fizjologicznych i umysłowych, które działały na nas podczas naszego rozwoju.

Ale pomimo tych zależności zdaniem autora pomiędzy „ciałem i duszą“ zachodzi stosunek równorzędności: ciało i dusza są obrazami tego samego przedmiotu, otrzymanemi przez różne metody, abstrakcjami istoty jedynej, stworzonemi przez nasz umysł; antyteza materji i ducha jest tylko przeciwstawieniem dwóch różnych metod badania; ten dualizm zaciążył poważnie na całej historji wiedzy o człowieku, stworzył fałszywy problemat związków między duszą i ciałem; niema podstaw do badania natury tych związków, ponieważ spostrzegamy nie duszę i nie ciało, lecz jedynie istotę złożoną, której czynności podzieliliśmy dowolnie na fizjologiczne i umysłowe.

A przy tym metodologicznym podziale obrazowi materjalnemu nadano prymat: od czasów Odrodzenia popełnialiśmy błąd przez dowolne przypisywanie niektórym naszym własnym przejawom stanowiska uprzywilejowanego; oddzieliliśmy materję od ducha;przyznaliśmy jej rzeczywistość istotniejszą niż duchowi; prymat materji i utylitaryzm — dogmat religji przemysłowej — doprowadziły do unicestwienia kultury intelektualnej, piękna i moralności w tej ich formie, którą nadały im narody chrześcijańskie, rodziciele wiedzy nowoczesnej; (ale) podstawienie ducha na miejsce materji nie naprawiłoby błędu Odrodzenia; zbawienie znajdzie się tylko w porzuceniu wszystkich doktryn, w pełnem przyjęciu danych obserwacji pozytywnej, w zrozumieniu faktu, że człowiek nie jest czemś większem lub mniejszem od tych danych (?).

Wreszcie autor wypowiada się przeciwko dogmatowi równości demokratycznej: zasada demokracji przyczyniła się do obniżenia cywilizacji, nie dopuszczając do rozwoju lepiej obdarzonych; dogmat ten wali się dzisiaj pod obuchem doświadczenia ludów; zamiast, jak to dziś czynimy, niwelować nierówności organiczne i (?) umysłowe, wyjaskrawimy je i zbudujemy większych ludzi.

Dodajemy, że na str. 38 książki autor mówi: „częstokroć uczeni, którzy się wyróżnili w sposób nadzwyczajny przez wielkie odkrycia lub pożyteczne wynalazki, dochodzą do przekonania, że ich znajomość jednego przedmiotu rozciąga się na wszystkie inne. Edison np. nie wahał się podawać publiczności swych poglądów na filozofję i religję. A publiczność przyjmowała słowa jego z respektem, wyobrażając sobie, że mają one w tym nowym przedmiocie tę samą powagę, co w dawnych“.

„Bibljoteka Wiedzy“ wydaje prace popularne autorów, którzy się wyróżnili w sposób nadzwyczajny w swoim zakresie, i w tych pracach, jak i dr. Alexis Carrel, wykraczają poza zakres swojej wiedzy specjalnej. A publiczność przyjmuje ich słowa z respektem, wyobrażając sobie, że one mają w tym rozszerzonym zakresie tę samą powagę, co we właściwym.

Józef Ciągliński

AMERYKAŃSKI SIENKIEWICZ

Kenneth Roberts. Szlak północno-zachodni. I. Demon leśnego bataljonu. Przełożył dr. **J. P. Zajączkowski. Warszawa, „Rój“,** 1938; str. 517 i 3 nl. — II. **Zemsta puszczy kanadyjskiej.** Przełożył **Lucjan Szenwald.** Warszawa, „Rój“, 1938; str. 557 i 3 nl.

Dzisiejsza powieść historyczna jest raczej „żywotem romansowym“, trzymającym się ściśle źródeł i faktów, jest raczej życiorysem na tle epoki. Kenneth Roberts, dziennikarz amerykański, poszedł starą drogą powieści historycznej, drogą wywodzącą się z Dumasa i Sienkiewicza; obie części jego wielkiej powieści historycznej, które ukazały się pod oddzielnemi tytułami po polsku, są romansem historyczno-awanturniczym, trzymającym się tradycyjnych reguł.

Podobieństwo do techniki powieściowej Sienkiewicza jest uderzające. Polski powieściopisarz dawał stale dzieje, — chciałoby się rzec — prywatne, bohatera na tle dziejów wielkich i znanych postaci historycznych, pozostających na drugim planie (Skrzetuski i Jarema, Kmicic i Janusz Radziwiłł, Winicjusz i Nero); podobnie postępuje autor amerykański, rzucając romans, a raczej dzieje dwóch miłości Langtona Towne, młodego malarza amerykańskiego, który uparł się malować Indjan takich, jacy byli naprawdę, — na tło prawdziwych przygód i dziejów, walk i odkryć historycznego majora Roberta Rogersa.

Historyczny bohater amerykańsko-angielski major Rogers jest postacią ludzką z krwi i kości, jego wielkie talenty, nadludzkie niemal cechy, bohaterstwo i wspaniała żywotność mieszają się z cechami zwyczajnie ludzkiemi: major nie tylko wygrywa szaleńcze bitwy, nie tylko dokonywa czynów najbardziej wspaniałych, nie tylko pisze traktaty o Ameryce i z genjalną intuicją wytycza szlaki przyszłości, ale pije i upija się, wyżywa się erotycznie, dokonywa czynów nieetycznych, chociaż we wszystkiem co robi jest ogromny i porywający, nadludzko bujny, jak całe to, nie znające hamulców społeczeństwo amerykańskie, które miało założyć podwaliny potęgi dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. I chociaż major Rogers jest Anglikiem i walczy przeciwko wyzwalającym się Amerykanom, zrósł się już z nową ojczyzną, której bujną alegorją i symbolem staje się na kartach powieści Kenneth Robertsa.

Pomimo wielu łatwizn i płycizn iście amerykańskich, należy ona do gatunku tych powieści, które czyta się naprawdę jednym tchem, od których trudno się oderwać po pierwszych kilku stronach. I to bodaj stanowi głównie o jej szalonem, jak się o tem pisze, powodzeniu. Autor jest niebywałym narratorem, znającym doskonale kunszt trzymania w napięciu czytelnika; umie też postawić postać, ożywić ją, wlać w żyły krew niezaprzeczonego talentu. Dlatego narzekania tych, którzy krzywią się i wskazują na „płytkość“ takiego romansu, należy zostawić nauboczu. Utwory, które umieją rozerwać czytelnika i dać mu wytchnienie, nawet romanse kryminalne, ale naprawdę zajmujące i dobrze napisane, będą zawsze literaturą. Ważne zaś jest jeszcze, że na kontynencie starej Europy nie znamy prawie historji młodej Ameryki, a książka Robertsa pouczy i o niej doskonale.

Oba przekłady polskie żywe i jędrne.

Tadeusz Hollender.

U NAS...

Nie **rozumiem...** Pod tytułem „Robotnik“ z 23. IX. doniósł: „We środę wieczorem grupa sympatycznych młodzieniaszków w mundurach uczniowskich wznosiła na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich w Warszawie okrzyki, pełne młodzieńczego wigoru:

— **Precz z Beneszem!**

— **Uwolnić Doboszyńskiego!**

Jakaś zacna staruszka zapytała przechodnia:

„Nie rozumiem... Czy to ten pan Benesz zamknął tego pana Doboszyńskiego“?

Przechodzień odpowiedział:

„Ja też, proszę pani, nie rozumiem“...

Autentyczne!

„Kara“. Zarząd Gminy Maleszowa, pow. Kielce, skazał: Jachowskiego Wacława, Pietrzyka Józefa, Pietrzyka Stanisława s. Tomasza i Sabota Stefana z Lisowa, po 20 zł. grzywny i 2 dni bezwzględnego aresztu, za to, że w niedzielę 25 marca b. r. o godzinie 17-tej śpiewali we wsi Lisowie hymn Stronnictwa Ludowego „Gdy naród do boju...“.

WYNIKI KONFERENCJI W EVIAN

Konferencja przedstawicieli różnych państw w Evian zasługuje, jako wydarzenie o doniosłości politycznej, na większą uwagę, aniżeli jej poświęcono dotąd w publicystyce. Naczelna jej uchwała, dotycząca stworzenia stałego organu z siedzibą w Londynie, którego zadaniem ma być porozumienie się zarówno z Rzeszą co do ułatwień wyjazdowych dla uchodźców, jak również z pozostałemi krajami co do umożliwienia im osiedlania się w nowych siedzibach, nie dała wprawdzie dotąd wyników pozytywnych i nie spełni zapewne wszystkich nadziei wygnańców, niemniej jednak może ona mieć znaczenie jako poważna próba znalezienia drogi, wiodącej do rozwiązania tego bolesnego zagadnienia.

Inicjatywę zwołania konferencji podjęły Stany Zjednoczone, ściślej mówiąc prezydent Roosevelt, który korzystając z palącej sprawy uchodźców postanowił tą drogą wywrzeć wpływ na przebieg kryzysu europejskiego. Zdołał on zgromadzić przy stole obrad przedstawicieli przeszło 30 rządów, odnoszących się z mniej lub więcej mieszanemi uczuciami do kwestji uchodźców i skłonić je do zastanowienia się nad możliwościami złagodzenia niesłychanych cierpień wielu setek tysięcy ludzi, a zarazem przez współdziałanie wszystkich krajów stłumić niebezpieczne zarzewie niepokoju.

Wpływ tak potężnego czynnika polityki wszechświatowej uwydatnił się również w samym przebiegu konferencji, której duchowymi kierownikami byli delegaci amerykańscy. Przemówienie głównego ich przedstawiciela Taylora było wyrazem nie tylko czysto ludzkiego współczucia i jasnego rozumienia przyczyn masowej ucieczki prześladowanych, ale zawierało ponadto praktyczne wnioski, zmierzające do rozwiązania zagadnienia. Taylor mówił wyraźnie o emigracji przymusowej, odróżniającej się od wszelkich znanych dotąd wędrówek, o emigracji, wywołanej praktykami różnych rządów. W przemówieniu jego nie brak było nawet akcentów, z których wyczuć się dawała oględnie wypowiedziana zachęta do stosowania gospodarczych środków odwetowych wobec krajów, odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. Zasadniczo stanął on na stanowisku, że celem konferencji powinno być stworzenie organizacji dla wszelkiego rodzaju uchodźtwa, lecz pierwsza konferencja w Evian powinna ograniczyć się do najpilniejszego w chwili obecnej zagadnienia uchodźców politycznych z Rzeszy i Austrji.

Ograniczone w ten sposób ujmowanie zadań konferencji przyjęte zostało z wyraźnem niezadowoleniem przez delegatów syjonistów, którzy pragnęli sprowadzić konferencję na tory swej polityki i powiązać kwestję uchodźców z Rzeszy i Austrji z ogólną kwestją wychodźtwa żydowskiego. O ile więc przeciwstawienie się temu stanowisku przez większość delegatów mogło być uważane za chęć zwężenia podejmowanych zadań — to z drugiej strony przeczyło temu bardzo szerokie rozumienie pojęcia politycznych uchodźców, sformułowanego przez Taylora. Nazwą tą objął on nie tylko prześladowaną ludność żydowską — jakkolwiek stanowi ona większość obecnych i przyszłych uchodźców — ale wszelkie ofiary prześladowań, ludzi, którzy spowodu swych przekonań politycznych, narodowości, wyznania lub swego „rasowego" pochodzenia, bądźto już opuścili kraje przemocy faszystowskiej, bądźteż opuścić je zamierzają. Dzięki tej wykładni odparto wszelkie próby objęcia opieką nowej międzynarodowej organizacji tylko Żydów i postawiono zagadnienie na szerszej płaszczyźnie, uznawszy ten samem wspólność losów prześladowanych Żydów z losami ludzi, którzy umiłowali wolność i sprawiedliwość społeczną.

Przemówienia przedstawicieli innych krajów imigracyjnych cechowała wyraźna wstrzemięźliwość, podyktowana obawą, że zbyt przyjazna postawa może stać się przyczyną znacznych trudności wewnętrznych, wskutek nadmiernego napływu uchodźców. W dalszym przebiegu konferencji złagodziło tę obawę ustalenie się przekonania o potrzebie współdziałania na podstawie podziału pracy pomiędzy krajami europejskiemi, udzielającemi prawa azylu na czas przejściowy, a krajami zamorskiemi, mogącemi zapewnić uchodźcom stałe siedziby. Anglja, Szwajcarja i Szwecja oświadczyły gotowość przyjęcia znacznej liczby uchodźców, uznanych przez kraje te za wykwalifikowanych, innym zaś zapewnić możność wyuczenia się zawodu lub przeszkolenia, a także przyjęcia pewnej liczby dzieci. Rząd Wielkiej Brytanji zamierza ponadto w najbliższym czasie ratyfikować genewską konwencję z lutego 1938, dotyczącą uchodźców; na jej mocy uchodźcom będzie przysługiwać po 3 latach pobytu w danym kraju prawo pracy. Belgja i Szwecja zapowiedziały również ratyfikowanie tej konwencji.

Wyniki konferencji ujęte zostały w uchwały, z których przytaczamy najważniejsze:

1. Obecna przymusowa i niezorganizowana emigracja ludzi prześladowanych z powodów politycznych, wyznaniowych i rasowych, ma być na przyszłość regulowana i organizowana.

2. Należy opracować program szczegółowy, który, w związku z uchodźtwem przymusowem już dokonanem, jak również możliwem w przyszłości, skoordynuje pracę różnych krajów lub dokona podziału tej przymusowej emigracji, w ramach obowiązujących w nich przepisach imigracyjnych.

3. Należy doprowadzić do współpracy z krajami, z których pochodzą uchodźcy, by wyjednać dla nich pozwolenie na zabranie będących w ich posiadaniu kapitałów oraz innych wartości.

4. Konferencja państw obejmie działalnością swą ludzi, którzy spowodu prześladowań politycznych, wyznaniowych i rasowych kraj swój opuścili, jak również tych, którzy z tych samych względów opuścić go pragną.

5. Krajom udzielającym azylu ma być przyznane prawo badania przybywających uchodźców pod względem ich zdolności przystosowania się społecznego i gospodarczego. Kraje te nie mają być zobowiązane do ponoszenia kosztów przymusowej imigracji.

6. Konferencja państw uważa siebie za instytucję stałą z siedzibą w Londynie, gdzie na przyszłość odbywać się będą następne zjazdy. Reprezentowane w Evian rządy będą delegowały swych przedstawicieli także na konferencję londyńską, która ma w dalszym ciągu prowadzić i rozwijać rozpoczęte dzieło.

7. Konferencja w Londynie odbywać się będzie pod kierownictwem przewodniczącego i czterech wiceprzewodniczących, przedstawicieli Ameryki Północnej, Anglji, Francji, jednego z państw Skandynawskich oraz jednego z państw Południowej Ameryki.

8. Plan prac czynnego stale w Londynie sekretarjatu obejmuje: porozumiewanie się z krajami, wydalającemi i przyjmującemi emigrantów, współpracę z komisarzem dla spraw uchodźców w Lidze Narodów oraz współdziałanie z prywatnemi organizacjami.

Najsłabszą stroną konferencji była postawa, zajęta wobec Rzeszy. Padały wprawdzie także ostre słowa krytyki pod adresem Niemiec za ich pogardę dla wszelkich zasad międzynarodowego współżycia, lecz bez wysnuwania konsekwencji, bez ujawnienia woli podjęcia walki z przejawami samowoli i gwałtów i zmuszenia drogą akcji międzynarodowej do uznania zarówno praw jednostek, jak i praw państw innych. Wyjednanie od Rzeszy drogą układów, by uregulowała i zorganizowała wychodźtwo swych obywateli, dotąd bezładne i w panicznym strachu podejmowane, by zapewniła im lepsze warunki finansowe, nie ma w obecnych warunkach żadnych widoków powodzenia. Złudne są pod tym względem oczekiwania; Rzesza prześladuje Żydów nie tylko ze względów „rasowych", ale także ze względu na ich zasoby finansowe.

Nie należy w stosunku do wyników konferencji w Evian kierować się zbyt wielkim optymizmem, jakkolwiek jako pierwsza próba rozważania sprawy uchodźców przymusowych w skali międzynarodowej, oznacza ona duży postęp na drodze ku rozwiązaniu tego niezmiernie trudnego zagadnienia. Większe jej znaczenie polega na zrozumieniu politycznej strony zagadnienia, którego rozwiązania oczekiwać należy jedynie na podstawie międzynarodowej współpracy wszystkich krajów. Pozytywnym wynikiem konferencji jest również zgłoszenie w obradach poufnych gotowości przyjęcia uchodźców przez niektóre kraje; dalszem osiągnięciem jest przyjęcie wniosku Stanów Zjednoczonych, dotyczącego stworzenia specjalnego organu dla spraw uchodźców. Nie bez znaczenia jest również po raz pierwszy w tej formie przyjęte uznanie konieczności roztoczenia opieki nad wychodźcami, prześladowanymi za przekonania, co, jeśli znajdzie odzwierciedlenie w zastosowaniu praktycznem, stworzyć może warunki współpracy z organizacjami opieki nad emigrantami politycznymi.

Marja Balsigerowa

NAUCZYCIELSTWO ZA DEMOKRACJĄ

Po zeszłorocznych wypadkach październikowych w związku z zawieszeniem zarządu głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego wzrosło zainteresowanie szerokich warstw społecznych sprawami tej największej organizacji nauczycielskiej w Polsce, bo liczącej 51.746 członków na ogólną ilość ok. 70.000 nauczycielstwa. Prasa prawicowa i reakcyjna od lat kilku nie przestaje drukować kłamstw i oszczerstw przeciwko zrzeszonemu w Z. N. P. nauczycielstwu, mającemu przecież w dziejach walk o niepodległość oraz w odbudowie odrodzonego państwa tyle pięknych kart i zasług. Należy zgodnie z rzeczywistością stwierdzić, że w minionym już teraz okresie władze Z. N. P. dały się wciągnąć do roboty politycznej przeciwko szerokim masom społecznym, że nauczycielstwo straciło kontakt i zaufanie chłopów oraz robotników, ale przyszła chwila rozwagi i zrozumienie konieczności odzyskania tego zaufania. Stało się to na poprzednim zjeździe nadzwyczajnym w marcu 1936 roku.

Ostatni zjazd delegatów odbył się w Warszawie w dn. 27, 28 i 29 sierpnia b. r. przy udziale 844 delegatów z całego kraju. W swem zagajeniu obrad podkreślił prezes Z. Nowicki „że nauczycielstwo na terenie całej Rzeczypospolitej wykazało niespotykaną nigdzie solidarność i jednomyślność, bezapelacyjną wiarę w słuszność swojej sprawy i dokonało dzieła głębokiej wewnętrznej konsolidacji... Zdobyliśmy wielki, niepowszedni kapitał zaufania. Zasięg tego zaufania już dawno przekroczył granicy sfer nauczycielskich... Nie wolno tego wielkiego kapitału zaufania zmarnować. Historjaby tego nie wybaczyła. Ten kapitał zaufania potrzebny jest bowiem nie dla nas, nie dla naszych egoistycznych celów zawodowych, lecz dla Polski, dla państwa, **dla demokracji polskiej**, a tem samem dla przyszłości naszego narodu, któremu z całego serca służymy".

Zasadniczy referat p. t. „Stanowisko Z. N. P. wobec aktualnych zagadnień zawodowych i społeczno-państwowych" wygłosił wiceprezes Czesław Wycech, stwierdzając przy licznych oklaskach delegatów, że: „moc i potęga państwa zawisły od dobrobytu i wysokiego poziomu oświaty mas pracujących, że jedynie wysoko zorganizowana conajmniej 7-letnia szkoła powszechna, obejmująca bez reszty dzieci wszystkich warstw narodu, uzupełniona przez szkołę dokształcającą, wyposażona w niezbędne siły nauczycielskie, urządzenia i pomoce będzie mogła stać się istotnym czynnikiem moralnego przysposobienia narodu dla obrony państwa..., że tylko nauczyciel obdarzony zaufaniem szerokich warstw społecznych, wśród których pracuje, będzie mógł spełniać doniosłą rolę w przedmiocie powiązania obywateli z państwem i narodem, a tem samem będzie mógł spełnić należną rolę w sprawie obrony narodowej... Na nas, jako spadkobierców pokoleń walczących o niepodległość we wszystkich polskich powstaniach spada obowiązek ugruntowania i utrwalenia niepodległości, oraz dalsza praca nad budowaniem nowej Polski na zasadach demokratycznych: wolności i sprawiedliwości społecznej... Z. N. P., zrzeszający w sobie duży odsetek nauczycieli szkół powszechnych, blisko współpracujący z warstwą chłopską i robotniczą, pierwszy zrozumiał potrzebę konsolidacji świata pracy... Z. N. P. jest **częścią składową ruchu polskiej demokracji, co w swej konsekwencji skłania nas do współpracy z organizacjami o charakterze demokratycznym**".

W ten sposób zostały mocno podkreślone węzły współpracy Z. N. P. z chłopskim ruchem oświatowym na wsi, gdzie pracuje olbrzymia większość nauczycielstwa, stykając się bezpośrednio z istotnemi potrzebami wsi. Zrozumienie doniosłości współpracy z szerokiemi masami ludności wiejskiej i miejskiej przebijało się również w czasie dyskusyj na sesjach pedagogicznej i organizacyjnej, na których omawiano trudności pracy wychowawczej, spowodowane trudnemi lub nędznemi warunkami materjalnemi życia szerokich mas ludności wsi i miast. W dyskusji zaś delegaci słusznie wskazywali, że nauki szkolnej niesposób oddzielić od warunków materjalnych dzieci i stanu gospodarczego wsi.

Na specjalnej komisji statutowej zostały uchwalone poprawki do statutu Z. N. P. w kierunku demokratyzacji związku, zaś na innych komisjach zostały przyjęte wnioski oraz przedyskutowany budżet na okres 1938—1940. Wniosek komisji rewizyjnej, proponujący udzielenie absolutorjum ustępującemu zarządowi, został przyjęty wśród długich i niemilknących oklasków delegatów. O zaufaniu, jakiem się cieszy zarząd główny Z. N. P., świadczy zresztą najlepiej uchwała zjazdu przedłużająca okres kadencji dotychczasowego zarządu głównego.

Z licznych uchwał zjazdu na szczególne podkreślenie zasługuje następująca: „Nauczyciel polski z tytułu swojej pracy w najrozmaitszych środowiskach zna tak dobrze rzeczywistość polską, jak może nikt inny i wie, że potęga Rzeczypospolitej Polskiej wspierać się musi na oświeconych masach chłopskich i robotniczych złączonych w bratnim wysiłku ze światem pracowników umysłowych. Ponieważ żaden ustrój państwowy poza ustrojem demokratycznym nie jest w stanie i nie chce zadość uczynić powyższemu warunkowi, przeto nauczycielstwo zgrupowane w szeregach Z. N. P. stało, stoi i stać będzie na stanowisku, że ustrój wewnętrzny Polski winien być ustrojem szczerze demokratycznym, tylko bowiem przy takim ustroju można prowadzić skuteczną akcję wychowawczą oraz wcielać w życie zasady sprawiedliwości społecznej".

Obrady ostatniego VII zjazdu delegatów Z. N. P. cechowała wewnętrzna spoistość i głębokie zrozumienie istotnych potrzeb oświatowo-kulturalnych szerokich mas społecznych Polski.

Michał Szulkin

List satyryka do jednego z dyktatorów

Na nic tu forsa ni zaszczyty,
które zbyt łatwo biorą szuje,
ni ryk, co w pustych łbach odbity,
zaledwie głośniej rezonuje.

Więc co? że pięść? że wielka, twarda?
więc złość, co wścieka się i pieni?
o, dyktatorze, a pogarda?
a mądrość wiotka jak natchnienie?

Więc co? — że bicie, które boli?
że knebel w usta? że po pysku?
a słodki smak attyckiej soli?
a ta samotność, nawet w ścisku?

A owe myśli, które tworzą?
te niewidzialne dla cię drgania,
których nie czujesz, dyktatorze?
Są rzeczy niedoodebrania.

O, ty, przewódco szyków karnych,
panie z wąsikiem czy też z bródką,
zechciej, o panie popularny,
pomyśleć nad tem raz, choć krótko.

Że tacy, chociaż ich nie dużo,
potrafią bardzo dziwne rzeczy,
milczeniem jak zatrutą różą,
nie licząc kolców, — okaleczyć.

Że wzrok ich widzi i przez mury,
a sąd przed wszystką myślą pędzi,
bo każdy z nich jest tym augurem,
co śmiać się musi przy obrzędzie.

Bo nasze słowa pospolite
są jako gibkie lwy za kratą,
gdyby nie były dynamitem,
nie gasiłbyś ich konfiskatą.

Nie tucząc się na twoim chlebie
zbieramy żniwo własnej chwały,
i gdybym słabszy był od ciebie
nie groziłbyś mi kryminałem.

Lekki jak komar, tnę jak osa,
z chwały i pały drwiąc i swady
przed samym końcem twego nosa,
którym wciąż węszysz swój upadek.

Bo ja wiem przed czem drży potęga,
bo znam straszliwą nagość bzdury,
a kiedy łapą po mnie sięgasz,
umiem się zwinnie wzbić dogóry.

O, jesteś dla mnie balonikiem,
w który celuję wciąż z ukrycia
i kiedy trafię — pęknie z sykiem
cichszym niż był twój ryk za życia.

A gdy się o tem wieść rozgłosi,
nie ciebie wzniesie tłum na dłoniach,
lecz dadzą słuszny poklask osie,
że powaliła wreszcie słonia.

Tadeusz Hollender

KORESPONDENCJA

NAUKA I TEOLOGJA

Do redaktora „Sygnałów"

W artykule Józefa Lubojańskiego „Zmierzch antyklerykalizmu" („Sygnały", nr. 50) znajduje się twierdzenie, że „na zanik antyklerykalizmu" wpłynęły również „najnowsze zdobycze nauk przyrodniczych", „pognębionym teologom niespodziewanie w sukurs przyszły właśnie nauki przyrodnicze".

Chociaż autor stwierdza, że nie zna się zupełnie na naukach przyrodniczych, jednak powyższe twierdzenie wypowiada zupełnie kategorycznie i uważa także za pewne, że przeciwnicy religji, którzy „chcieli" się dobrać do katolicyzmu od strony nauki, daleko są dziś od tej „butnej" pewności siebie, jaką mieli w okresie pozytywizmu, zaś apologeci katolicyzmu są najlepszej myśli i prowadzą swobodnie dyskusje już nie ze sztubakami ale profesorami fizyki i biologji.

Otóż ci apologeci bynajmniej nie prowadzą dziś swobodnie dyskusji z profesorami fizyki i biologji, nie potrzebują jej bowiem prowadzić. Profesorowie w zupełności sami zastępują owych apologetów. A dzieje się tak bynajmniej nie dlatego, że nauki przyrodnicze poczyniły zdobycze, przemawiające za tezami teologów, nie poczyniły bowiem żadnych takich zdobyczy, lecz dlatego, że profesorowie poddali się czy poprostu udali się do obozu faszyzmu i interpretują proteologicznie swoje zdobycze, zupełnie niezależnie od jakiegobądź ich charakteru. „Materje", t. j. pierwiastki chemiczne, dawniej miały być argumentem promaterjalistycznym, obecnie elektrony mają być argumentem antymaterjalistycznym, jakgdyby nie reprezentowały tej samej „materji", której pojęcie nie zależy od żadnej formy wogóle i w szczególności od tej formy, którą przyrodnicy w danym czasie uważają za najdalszą w analizie, czyli za najpierwszą w syntezie form materjalnych. Fundamentalne przyrodnicze prawo empiryczne stwierdza, że niema ani jednego takiego przypadku, aby taka lub inna forma materji nie stanowiła niezbędnego warunku istnienia takiej lub innej formy duchowego zjawiska, n. p. mózg — myśli, czucia i t. d. Tego prawa żadne najnowsze zdobycze dotąd nie podważyły. Decyduje ono o prymacie „materji" w stosunku do „ducha", a uznawanie ustosunkowania się tych obu uogólnień jest podstawą poglądu materjalistycznego. Żaden badacz przyrody nie jest i nie może dziś być niematerjalistą przy swoim warsztacie pracy, bo inaczej nie mógłby być badaczem przyrody, ale może — klimatowi faszyzmu. Żaden z nich nie być i w większości przypadków staje się teozofem poza swoim warsztatem pracy badawczej, bo wtedy jako wolny obywatel powietrza ulega obecnemu signum temporis czyni tego, co im jednak imputuje Alexis Carrel — także faszysta i teozof („Człowiek, istota nieznana", str. 115), że „idą za rzeczywistością wszędzie, dokąd ich prowadzi", jak poszedł Kopernik, odkrywszy fakt krążenia planet dokoła słońca. Ich rzeczywistością pozostaje zawsze fundamentalne prawo materjalizmu, od którego nie mogą się wymigać i nawet nie usiłują się wymigać w badaniach swoich, ale zapominają o tej rzeczywistości, kiedy przestają badać, zaczynają natomiast „gadać", co im tem łatwiej przychodzi, gdyż im bardziej człowiek jest przystosowany i wyszkolony do badania swego, tem bardziej jest niedołężny i nieodpowiedzialny poza jego granicami. I w ten sposób stają się dziś apologetami teozofizmu — signum temporis — chociaż nigdzie czynnika twórczego „bóstwa" w badaniach swoich nie napotykają.

Dopuszczenie podniesionej przeze mnie sprawy w „Sygnałach" jest rzeczą bardzo przykrą, bo upoważnia do zrobienia uwagi, że niepognębionym jeszcze teologom przychodzą z pomocą także „Sygnały".

Józef Ciągliński (Warszawa)

LIST ROBOTNIKA

Do redaktora „Sygnałów"

Dnia 18 września odbył się w Katowicach zlot młodzieży socjalistycznej. Byłem jednym z uczestników zlotu. Takich jak ja było wielu. Przybywali do Katowic pociągami, tramwajami, furmankami, na rowerach, wielu zaś, nie mając pieniędzy przychodziło pieszo, nawet z bardzo oddalonych okolic.

Ulice ożywiły się. Uwagę moją zwrócił samochód ciężarowy, w którym jechali młodzi ludzie, wznoszący okrzyki i rozrzucający ulotki. Jedną z nich podniosłem. Czytałem: „Młodzi Polacy! Wyszli już na ulice miast i wsi socjalistyczni agitatorzy, aby tumanić młodzież chłopską i robotniczą marksistowskimi hasłami. Wykorzystując nędzę polskich mas proletarjatu, pchają go w otchłań międzynarodowych zakłamań komunizmu, socjalizmu i międzynarodowego kapitału, eksploatującego Polskę do spółki z Żydami. Głosząc demagogiczne hasła pseudowolnościowe i pseudodemokratyczne ukrywają za nimi dążenie do osłabienia siły i potęgi Państwa, do poderwania wszystkich jego rusztowań, by w powszechnym chaosie zgubić nasz kraj. Nie dajcie się omamiać socjalistycznymi frazesami. Program socjalistów, zrodzony z doktryny Żyda Mordochaja Marksa, propagowany jest za pieniądze żydowskich bankierów i fabrykantów, hojnie sypane na te cele... Młodzież polska nie pójdzie na lep mętnych haseł marksistów i nie pozwoli zawieść cię pod czerwone sztandary, aby sprowadzić na Polskę tragiczne losy Hiszpanji!..." Podpis: „Związek Młodej Polski".

Przeczytałem te bzdurstwa spokojnie i idąc na plac, gdzie mieliśmy się zgromadzić, rozmyślałem:

Jakto? Jestem tylko częściowo robotnikiem, częściowo zaś bezrobotnym: przez wiele miesięcy w roku nie mogę otrzymać pracy, jestem poza nawiasem wszystkiego. Na zlot do Katowic przybyłem pieszo z oddalonego o 9 klm. Sosnowca, w zniszczonem ubraniu, w koślawych, połatanych butach, z pajdą chleba w kieszeni i kilku groszami na kupno wody sodowej. Tak jaskrawo odcinam się od odświętnie ubranych paniczyków, — więc to ja jestem tak hojnie opłacany? Przez kogo? Kto mi daje pieniądze, gdy nawet w okresie zimowym, który jest najcięższy w życiu robotników sezonowo zatrudnionych, żaden polski i żydowski sklepikarz nie chce mi skredytować bochenka chleba, nie mówiąc już o kiełbasie, którą również zjadłoby się ze smakiem?...

A któż sprowadził na Polskę nieszczęścia i zakuł ją w wiekową niewolę wrogich reakcyjnych potęg — jak nie przodkowie patentowanych patrjotów ze „Związku Młodej Polski"? I kto później staczał o nią krwawe boje, jak nie proletarjat, któremu przewodził tak znienawidzony przez całą reakcję czerwony sztandar?

A kto dzisiaj sprzedaje Hiszpanję Hitlerowi i Mussoliniemu, jak nie zdrajca swej ojczyzny gen. Franco? I kto pławi się we krwi i składa życie w obronie swej niezawisłości i wolności, jak nie proletarjat Hiszpanji, mający sympatje całej demokracji?

Nie, panowie patrjoci ze „Związku Młodej Polski", ja napewno nie uwierzę w te wszystkie brednie, które wypisujecie w swych propagandowych ulotkach, a takich jak ja Polska liczy już miljony. Szkoda waszego papieru. Przyszłość należy do nas, do socjalizmu.

Pewnym krokiem poszedłem na zlot. Zlot jeszcze bardziej utwierdził mnie w moich przekonaniach. Zlot był wspaniały. Wzięły w nim udział tysiące młodych robotników z Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego, Łodzi i Śląska Cieszyńskiego. Nastrój był uroczysty i podniosły. Zachowanie się robotników spokojne, ale zdecydowane i stanowcze. Ogromna sala w Domu Powstańców nie mogła pomieścić wszystkich uczestników zlotu. Przemówienia mówców, zagrzewających młode pokolenie do wytrwałej walki pod czerwonemi sztandarami P. P. S. dla stworzenia takiego ładu i porządku społecznego, w którym każdy obywatel będzie miał dobre warunki materjalne i możność rozwoju kulturalnego, znalazły potwierdzenie w naszych duszach. Wszyscy uczestnicy złożyli ślubowanie, że będą wierni idei socjalistycznej i będą bronili niepodległości Polski.

Już zmrok zapadał, gdy tow. Stańczyk rozwiązał zlot. Uczestnicy jak tu przybyli tak samo spowrotem dostawali się do swych domów, unosząc w sercach wiarę niezłomną w lepsze jutro i wytrwałość w walce o zrealizowanie w niedalekiej przyszłości socjalizmu.

Próżne są wysiłki panów ze „Związku Młodej Polski".

Franciszek Drela (Sosnowiec)

W SPRAWIE „SYGNAŁÓW"

Do redaktora „Sygnałów"

Pragnę podzielić się paru uwagami o „Sygnałach".

Jest to bezsprzecznie najlepsze pismo, jakie wychodzi obecnie w Polsce. Pożądane byłoby, aby pozyskało współpracę większej ilości demokratycznych pisarzy, jak Dąbrowska, Gojawiczyńska, Kuncewiczowa, Nałkowska i inni. Skupienie grona apolitycznych i pół-apolitycznych pisarzy pozyskałoby pismu podobnych czytelników, którzy stanowią lwią część czytających prasę. W ten sposób pismo rozszerzyłoby swój wpływ na masy nowych współpracowników i czytelników.

Artykuł J. N. Millera o „Sygnałach" w „Robotniku" to wielka i rzetelna zdobycz; świadczy on, że „Sygnały" zajmują należne im miejsce w polskiej prasie demokratycznej.

Brakiem pisma jest zbyt mała ilość korespondencyj o społecznych i ideologiczno-literackich prądach w Europie zachodniej. Mało n. p. wiemy o pisarzach i uczonych demokratycznych we Francji. Przydałyby się wywiady z Romain Rollandem, Malraux, Bernanosem, Mauriac'iem, Maritainem i innymi czołowymi pisarzami francuskimi. Przydałby się artykuł o francuskich katolikach, walczących z faszyzmem.

W kraju warto zwrócić się o współpracę pisarzy „prowincjonalnych", którzy nie mają gdzie pisać, nie są tak zarozumiali jak „warszawiacy", są zaś nie mniej zdolni — n. p. Wyszomirski w Wilnie, Przyboś na Śląsku Cieszyńskim, grupa „Kamery", „Okolicy Poetów" i t. d.

Pożądane byłoby przystosowanie artykułów do zainteresowań różnych klas; trzeba n. p. więcej artykułów o ruchu ludowym w Polsce (jak Solarzowej). Dotychczas nie było artykułu, któryby w sposób ciekawy informował o klasowych związkach zawodowych, podając ich strukturę organizacyjną, liczebność, charakter i t. d. Przydałoby się więcej artykułów o działalności rewolucjonistów w 1905 r., o rozłamie w P. P. S.

Najcenniejszym nabytkiem „Sygnałów" w ostatnim czasie są artykuły Stefana Wodwicza, może nieco za obszerne, ale zato pełne temperamentu.

Walka „Sygnałów" przeciwko nowoczesnej Targowicy, gotowej zaprzedać Polskę hitlerowskiemu imperjalizmowi z pobudek klasowego egoizmu — to wielka przysługa, jaką pismo oddaje obronie niepodległości Polski. Należy jeszcze bardziej wzmóc to „moralne uzbrajanie" kraju.

Jan Sinogóra (Warszawa)

BŁĘDY DRUKARSKIE.

W artykule moim „Nowości literackie" („Sygnały", nr. 53) w zdaniu w pierwszej szpalcie zamiast: „Droga utrat, na której znaczą się posępnie śmierć ojca, śmierci matki, stosowane"... powinno być: **stonowane.** W „Korespondencji" w liście w sprawie Wł. Słobodnika zamiast „szedł wraz z wierszami na mszę", powinno być **wiernemi.**

J. K. Weintraub (Zakopane)

*

Sp. „Czytelnik", Kraków. Komunikat zamieściliśmy.

D. W. Wodzisław. „Przegląd Socjologiczny": Warszawa, Nowy Świat 72, Pałac Staszica; „Albo Albo": Kraków, Zgoda 4, „Czarno na Białem": Warszawa, Książęca 4 m. 7.

S. S. Niestety, nie możemy umieścić. Rzecz niecenzuralna. Prosimy o pamięć. Zasyłamy najlepsze pozdrowienia. Odpowiedzieliśmy listownie.

J. Sin. Warszawa. Odpowiedzieliśmy listownie.

J. Bard. Warszawa. Wiersz nie nadaje się do druku.

M. Gen. Warszawa. Z wiersza nie skorzystamy. Za miłe słowa dziękujemy.

A. M. Podłużne. Odpowiedzieliśmy listownie.

J. G. Warszawa. Z artykułu nie skorzystamy.

W OCZACH ZACHODU

Niemcy. Nasi wielbiciele hitleryzmu — zarówno ci z obozu czysto-„narodowego", jak i ozonowo-„narodowego" — pełni są zachwytu dla „dynamizmu" i osiągnięć obecnych Niemiec. Chętnie przytaczają rzekome fakty i liczby, mające świadczyć o tem, że postęp ogarnia również wszystkie dziedziny życia gospodarczego państwa Hitlera. Tem łatwiej mogą to czynić, że o rzeczywistem życiu gospodarczem i finansowem Trzeciej Rzeszy dokładne objektywne wiadomości nie przenikają poprzez pilnie strzeżoną granicę niemiecką.

Oficjalne dane statystyczne są fałszowane i dostosowywane do potrzeb propagandy. Tylko od podróżnych(oczywiście nie tych z wagonów sypialnych i pierwszorzędnych hoteli) słyszy się od czasu do czasu o panujących w Niemczech brakach i nędzy. Przemysłowcy i technicy, utrzymujący stosunki z Niemcami, narzekają na różne trudności, zanik dawnej solidności niemieckiej, duże opóźnienia i braki techniczne dostaw przemysłowych. Są to jednak wiadomości ułamkowe, subjektywnie zabarwione. Zrzadka tylko zdoła przeniknąć przez sito cenzury w jakiemś piśmie specjalnem wiadomość objektywna, rzucająca promyk światła na zachodzące w Niemczech a brzemienne w skutki zmiany, o których milczy płatna i amatorska propaganda.

Jedna tego rodzaju drobna napozór niewinna notatka znalazła się w kronice znanego pisma „Elektrotechnische Zeitschrift" (1938, zeszyt 19, str. 503). Elektrownie niemieckie prowadzą od szeregu lat statystykę uszkodzeń przy kablach ziemnych wysokiego napięcia od 15kv wzwyż. W roku 1933, pierwszym roku „ery hitlerowskiej", liczba wypadków, spowodowanych przyczynami wewnętrznemi (jakość wykonania i montażu) osiągnęła minimum. W roku 1936, czwartym roku „odrodzenia Niemiec", liczba ta **podwoiła się** (skoczyła z 0.18 na 0.35!). Notatka podaje dalej, że w roku tym przeszło trzy czwarte z liczby założonych kabli posiadały żyły aluminjowe zamiast miedzianych. Dzieje się tak w myśl polityki, nakazującej zastąpienie surowców zagranicznych krajowemi. Ta chwalona przez propagandę „samowystarczalność" przyczyniła się znowu do powiększenia liczby zakłóceń w mufach kablowych, w sumie zaś ogólna liczba uszkodzeń wzrosła w roku 1936 do 2 na 100 km.

W czasie wojny propaganda niemiecka zachwalała „genjalne namiastki", wynalezione przez technikę niemiecką, zapewniając, że wyniknie z tego trwały postęp techniczny i gospodarczy. Skoro jednak wojna się skończyła, wszyscy, którzy mieli korzystać z cudownych wynalazków, odetchnęli z ulgą, gdy mogli wyrzucić na śmietnik te namiastki. Nie inaczej zapewne będzie z obecnemi genjalnemi wynalazkami sztucznej benzyny, gumy i t. d., których koszt wielorako przekracza koszty surowców naturalnych, a jakość jest gorsza. Tylko obecny bezsensowny układ stosunków społecznych i przygotowania wojenne Hitlera zmuszają do tego rodzaju marnotrawienia sił ludzkich i bogactwa narodowego, do uprawiania polityki, sprzecznej z zasadami racjonalnej gospodarki społecznej.

W innym zeszycie wspomnianego pisma (z. 20, str. 614) znajdujemy notatkę z urzędowego sprawozdania Związku Elektryków Niemieckich o zmniejszonym dopływie do przemysłu inżynierów i techników ze szkół zawodowych i zapowiedź, że w najbliższych dwóch dziesięcioleciach należy oczekiwać znacznego zmniejszenia tego dopływu.

Piszący te słowa znalazł się przejazdem w Niemczech w roku 1914 w czasie mobilizacji i wybuchu wojny. Przy spotykaniu się z Niemcami słyszało się na każdym kroku dumny wykrzyknik „Alles klappt!" (wszystko idzie gładko, „klapuje"). Opierając się na przytoczonych, ułamkowych wiadomościach o stanie rzeczy w Niemczech, należy przypuszczać, że już obecnie nie wszystkoby „klapowało", a im dłużej hitleryzmu, tem będzie gorzej. Uwstecznienie kultury, cofanie się do średniowiecza musi odbić się na wszystkich dziedzinach życia. Marsze, parady i przysposobienia wojskowe mogą wykształcić dobrych feldfeblów (chociaż i od feldfeblów wymagana jest pewna inteligencja), lecz nie stworzą dobrych uczonych, techników i monterów, którzy przed erą hitlerowską stanowili o istotnym postępie gospodarki i techniki niemieckiej...

Emigracja. W lecie b. r. ukazał się pierwszy zeszyt pisma „Zeitschrift für freie deutsche Forschung". Pismo to jest organem Wolnej Wszechnicy Niemieckiej w Paryżu. Zadaniem jego jest gromadzenie prac naukowych niemieckich uczonych, przebywających na emigracji. Ukazał się również tom zbiorowy „Freie Wissenschaft" pod redakcją E. J. Gumbela.

Według oceny Gumbela od roku 1933 około 2.000 uczonych w Niemczech i Austrji zostało pozbawionych pracy i usuniętych. Wielka ich liczba pracuje w uniwersytetach innych narodów i państw.

W pierwszym zeszycie „Zeitschrift für freie deutsche Forschung" umieścili prace: Albert Einstein, Alfred Stern, Siegfried Marck („Zur Philosophie des Nationalsozialismus"), Julius Lips, Wolfgang Hallgarten („Fremdheitskomplex und Uebernationalismus"), Johann Schmidt („Nationalsozialistische Wissenschaft und die Aufgaben der freien deutschen Forschung").

Tom zbiorowy, wydany przez Gumbela, zawiera m. in. prace: Anna Siemsen („Das Problem der Erziehung"), Theodor Geiger („Aufgabe und Schicksal der Inelektuellen"), F. W. Förster („Die Tragödie der deutschen Christen"), Siegfried Marck („Vom romantischen Idealismus zum sozialistischen Neuhumanismus"), Tom dzieli się na trzy części: „Die geistige Situation", „Staat und Geselschaft" i „Naturwissenschaft".

Kukurydza. Pewne konsorcjum angielskie złożyło rządowi rumuńskiemu ofertę zakupu połowy zbiorów kukurydzy, przeznaczonej w r. b. na eksport. Takie same oferty złożyło rządowi jugosłowiańskiemu i węgierskiemu.

Niemcy zakupili poważne ilości kukurydzy amerykańskiej, które zostały załadowane na statki przeważnie w rzecznych portach kanadyjskich.

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.**